Numer 47 Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 20 Listopada 1927



# ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE













Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

**Za zmianę adresu należy się 40 groszy.**

**Słuszna uwaga.**

— Tak mnie rwie w lewej nodze, że ledwie chodzić mogę.

— To objaw wieku, przypuszczam.

— Głupstwo, wszak prawa noga też tyle ma lat, ile lewa, a nie boli.



**Lichy początek.**

D y r e k t o r w i ę z i e n i a: — Prośbę pańską o ułaskawienie odrzucono, wobec czego wyrok śmierci jest prawomocny.

W i ę z i e ń: — A dziś właśnie mamy poniedziałek. Ładnie się dla mnie ten tydzień zapowiada!



**Na dworcu kolejowym.**

D w i e p a n i e: Panie portjerze, spóźniłyśmy pociąg, co mamy robić?

P o r t j e r: Mniej jadać przed odejściem pociągu.

**Znawca.**

— Twój przyjaciel Karol ma być podobno nadzwyczajnym znawcą kobiet?

— Jeszcze jakim: po smaku poznaje z jakiej fabryki pochodzi puder.

**Różnica.**

— Czem się różni koń od osła?

— Tem, że na koniu każdy osioł jechać może, a koń na ośle nie.



**Testament.**

— Chciałbym też, panie notarjuszu, zaznaczyć w testamencie, że na pogrzebie mym orkiestra ma zagrać trzy pieśni.

— Dobrze, co chciałby pan usłyszeć?



**Z wypracowania szkolnego.**

...Kręgosłup jest to słup za brzuchem. Na jednym końcu siedzi głowa, na drugim siedzimy my.

Numer 47. X. Rok Kraków, dnia 20 Listopada 1927




ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Prenumerata** na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

# Gadulstwo.

Jedną z największych wad narodu polskiego jest gadulstwo. Gadamy czy potrzeba, czy nie, czy mamy co powiedzieć, czy nic, ot byleśmy tylko gadali. W mowie naszej bywa projektów moc, niezliczona ilość zamierzeń, z których w rezultacie prawie żadne nie zostaje wykonane.

Przypatrzmy się naszem zgromadzeniom, czy to politycznym, czy społecznym, czy wreszcie zawodowym. Staje na mównicy prelegent, mniej lub więcej światły i rzuca w uszy słuchaczy setki i tysiące projektów. Szerokie, a czasem i nie bardzo szerokie audytorjum słucha go i przytakuje mu, w dyskusji dodaje szereg dalszych projektów, uchwala często bardzo piękne rezolucje i... na tem koniec. Gdy przyjdzie do wykonania tych uchwał, brak nam ludzi.

Przypomnijmy sobie, bo czasy to nie tak dawne, zgromadzenia przedwyborcze z przed pięciu lat. Ileśmy tam mieli cudownych obiecanek od kandydatów na posłów bez względu na ich przynależność partyjną. Złote góry nam obiecywali, raj na ziemi przepowiadali. Jedni z nich nie weszli do sejmu i ci dziś są w lepszem położeniu, boć mogą powiedzieć: — „Ha, nie było nas w sejmie, więc nie mogliśmy tego dotrzymać, cośmy obiecywali“, drudzy zaś, którzy tam weszli, będą się tłumaczyć, że nie dotrzymali przyrzeczeń, gdyż ich tam było zamało, aby swe żądania w czyn wprowadzić. Liczą na to, że szanowni wyborcy o ich obietnicach po pięciu latach zapomnieli i dziś im ich nie przypomną.

A może i przypomną! Może powiedzą: „Gdyby wasze propozycje były dobre, pożyteczne dla społeczeństwa, to trudno przypuścić, aby dla nich nie można było znaleść większości. Musiały więc być niekorzystne, więc upadły“. Albo może sobie przypomną, że ci, którzy sypali obietnicami, jak z rękawa, ani nie pomyśleli potem o ich zrealizowaniu. Przypomną sobie ich czczą gadaninę i przy najbliższej sposobności zapytają o czyny a nie o słowa.

Nie da się zaprzeczyć, że wszelka inicjatywa jest dobra, ale tylko wtedy, jeżeli za nią następuje czyn. Łatwo bardzo płodzić tysiące projektów, zakreślać szerokie widnokręgi, lecz od czczych słów do czynów dzieli nas częstokroć ogromna przestrzeń niemożliwych do zwalczenia przeszkód. Nie ten jest dzielny, który pustą gadaniną obałamuca umysły i narzuca swe zdanie, pragnąc zmusić otoczenie do poklasku, lecz jedynie ten, który mierząc zamiary na siły, pracuje nad tem, by w istocie dokonał tego, co zamierzył.

Przerzucanie się od projektu do projektu a niechęć czy nieumiejętność dokończenia rozpoczętej pracy jest świadectwem lekkomyślności i chęci popisywania się swoją niby to dobrą chęcią, ale przecież i piekło jest dobremi chęciami wybrukowane.

Ci próżni „gadacze“ byli zawsze i pozostaną klęską własnego społeczeństwa, udręczeniem tych, którym ze swojemi pomysłami się narzucają, gdyż zanim cokolwiek poczynają robić, opadają im ręce, bo oto w pustej głowie pęka nowy fajerwerk i świeży pomysł rzuca się na szalę nowych projektów.

Społeczna praca nie jest zabawką, ani czczym popisem nieraz niemądrej wymowy dla zdobycia poklasku. Trzeba prócz pięknych pomysłów mieć wiele energji, cierpliwości i zdolności, by sterować łodzią społeczną, by nie wypuścić z rąk wiosła i dobić do brzegu.

Wśród naszego społeczeństwa dzieje się jednak często przeciwnie. Na czoło tego społeczeństwa wysuwają się rozmaici krzykacze, którzy ani sił nie posiadają do owocodajnej pracy, ani chęci do niej nie mają. Ale nie to dziwne, że oni swem gadulstwem starają się wybić na czoło społeczeństwa, lecz to dziwniejsze, że my idziemy za nimi, by stado bezwolnych baranów. Jeżeli chcemy znaczyć coś wśród narodów świata, to nauczmy się w pierwszym rzędzie odróżniać czyste ziarno od plew, jakie je otaczają.

WALERY PRZYBOROWSKI.

# Było to pod Jeną...

**(Opowiadanie legjonisty).**

VIII.

Potem poszedłem na pokoje do głównego pałacu, byłem na obiedzie. do którego siadło kilkadziesiąt osób. Wszyscy byli dla mnie bardzo grzeczni, przypatrywali się memu mundurowi przyjacielskiemu, a że rozeszła się już wieść, że jadę do legjonów, więc księżna obdarzyła mię szarfą, mówiąc, bym ją zawsze nosił w bojach i sławie oręża polskiego nie przyniósł ujmy. Nazajutrz otrzymałem od pana Skowrońskiego listy, mające mię zabezpieczyć od nagabywań władz austrjackich, i serdecznie przez Dembowskiego żegnany, opuściłem Puławy.

Przeprawiwszy się przez Wisłę na promie, jechałem na Kozienice, Radom, Końskie do Krakowa. Grześ, gdyśmy się znaleźli już za Wisłą i wlekli się wśród skwarnego dnia po piaszczystej drodze, gadał:

— Aj, paniczu, co to za pan, za monarcha!

— Kto taki?

— A ten książę w Puławach.

— Alboż to on jest monarcha?

— A niby cóż?

— Wielki pan i nic więcej.

— Wielgi pan... toć ja wiem. Ale on jest taki wielgi, jak monarcha, i takiego drugiego chyba na świecie niema. Jać widział panów. I pan Zieliński ze Skępego tyż jest wielgi pan, ale gdzie jemu do pana puławskiego. Ho! ho! Tam, panie, samych koni na stajni jest ze dwieście. A co parobków, forysiów, masztalerzy! Nie zliczyć tego, panie.

— Dobrze ci było? — spytałem.

— Jak w niebie. Wyspałem się, jak król, najadłem się tak, żem jeno zipał, koniom też dali owsa, co się jeno zmieści, wszyćko bardzo politycznie i znać zara, że to wielgie państwo. A te fornale i forysie, na ten przykład, gadają: — To ty z twoim panem do legjonów jadziesz? — Tak! — pedam. — I ty sam wstąpisz do legjonów? — A jakżeby było — pedam — kiej pan mój wstępuje, to i ja też, i będę prał Miemców, że ha! — A to — pedają — dobrze robisz, i myby poszli, bo jakże to siedzieć i chleb pański jeść, kiej nasi z Napolijonem Miemców biją. Ale cóż, kiej nie puszczają. — Pluńcie na to — rzekę ja — siadajcie na konie i jazda z moim paniczem. Jak cysorz Napolijon, na ten przykład, obaczy, że pan mój przyprowadził mu na pomoc takich krzepkich chłopów, to rzeknie: „Rudnicki, dobrze się spisałeś i za to ja tam zara do Warsiawy przylecę i Miemców od was wymiotę“.

— A cóż oni na to? — spytałem, śmiejąc się z tego opowiadania Grzesia.

— Niby ktoż?

— A te parobki i forysie puławskie?

— A cóż? Chłopy krzepkie, ani słowa, bo to dobrze źre i nic nie robi, ale z przeproszeniem baby. Słuchać to oni słuchali, rozdziawiwszy gęby, ale na wojnę z nami iść nie chcieli. Co to, panie, jak komu dobrze! — a oni mają tak, że i w niebie lepiej nie będą mieli — to gdzie im ta myśleć o wojaczce! Ja im powiedział: Czekajcie, hycle, jak ja tu z cysorzem Napolijonem przyjdę, to wam wszyćkim każę dać po pięćdziesiąt batów i łby, jak szelmom, pogolić.

— A oni co na to? — spytałem.

— A co? Pytają: — Za cóż ty nas, wyporku warsiawski, chcesz bić? Za to, pedam, co ze mną na wojnę nie idzieta! To oni się śmieją i gadają: — Niedoczekanie twoje, ślepy Mazurze, żebyś ty miał nas bić batami. — Obaczycie! — pedam — że was orznę, jak kotów... I przysięgam panu Jezusowi, że jak tu przyjdziemy z Napolijonem, to ja tych darmozjadów puławskich tak orznąć przykażę, że ich rodzona matka nie pozna.

— Nie plótłbyś głupstw! — zawołałem. — Komuż ty będziesz przykazywał? Cóż to ty będziesz oficerem, czy co?

— Laczegoż to ja nie mam być oficerem? Ho! ho! niechno ja po swojemu zacznę Miemców macać, to obaczy panicz, cysorz Napolijon zara mię zawoła i rzecze: — Grzesiu, walny jesteś chłop, będziesz oficerem. Ho! ho! już ja wiem, że tak będzie.

Tak mię bawił Grześ wśród podróży, wlokącej się leniwie po drogach piaszczystych. Skwar przytem był wielki, tak że musieliśmy w dzień odpoczywać i tylko wieczorami i rankami podróżowaliśmy, żeby koni nie męczyć. Jednakże, jadąc ciągle, posuwaliśmy się naprzód i niebawem, po dwu dniach podróży, dobiłem się do Krakowa bez żadnych przygód.

W Krakowie postanowiłem zatrzymać się parę dni, najprzód, żeby sobie i koniom dobrze wypocząć, a potem, żeby zwiedzić tę starożytną stolicę polską, w której nigdy jeszcze nie byłem. Tak też uczyniłem. Zajechałem do zajazdu „Pod Białym Orłem“ na ulicy Florjańskiej, gdzie dostałem dość wygodną kwaterę. Tu już głośno mówiono o blizkiej jakoby wojnie Francji z Prusami; opowiadano, że prawdopodobnie i Austrja weźmie w tem nowem starciu udział, co mię bardzo zaniepokoiło, bo tym sposobem, wśród rozpoczynającej się wojny, trudniejby mi było przedostać się do legjonów. Wobec tego postanowiłem skrócić swój pobyt w Krakowie, czego byłbym dokonał, gdyby nie głupota, a raczej długi język Grzesia.

Włócząc się po mieście, gdzieś tam, w jakimś szynku na Kleparzu porobił znajomości z podejrzanemi figurami i, podpiwszy sobie nieco, bo był skłonny do tego, pobił żołnierza austrjackiego, nawymyślał mu od „krowich nóg“ i wreszcie, co najgorsze, wygadał się, że jedzie ze mną do legjonów. Szpicle, jak nazywają w Krakowie szpiegów, których w owym czasie pod cesarsko-królewsko-apostolskim rządem było pełno, usłyszeli to i oczywiście donieśli gdzie należy, a zaraz też w hotelu „Pod Białym Orłem“ zjawiła się policja. Na szczęście, wtedy ani mnie, ani Grzesia nie było w domu. Wracając przed wieczorem do zajazdu, o niczem nie wiedząc i zupełnie spokojny i zachwycony starymi zabytkami Krakowa, spotkałem Grzesia, który na Rynku, w czapce na bakier, z miną gęstą i rozdziawioną gębą przysłuchiwał się hejnałowi, wygrywanemu na wieży Marjackiej. Zabrałem więc gapia ze sobą i szliśmy już razem, gdy na ulicy Florjańskiej zaczepia mię służący z zajazdu, który widocznie czekał na mnie:

— Panie — powiada szeptem i oglądając się dokoła trwożliwie — umyślnie mię tu wysłał gospodarz, żeby pana ostrzedz.

— Co takiego? — spytałem zdumiony.

— Policja pana szuka.

— Mnie! Policja?

— Tak.

— Dlaczego? Czego chce odemnie?

— A! proszę pana... po co pan ma takiego durnia furmana!

Grześ zaczerwienił się i chciał coś powiedzieć, ale

wstrzymałem go giestem, nakazując milczenie, i pytam posła dalej:

— Nic nie rozumiem. O co idzie?

Tu mi dopiero opowiedział wszystko i radził, żeby wcale nie wracać do zajazdu, bo go „szpicle" mają na oku, i żeby natychmiast uciekać z Krakowa.

— Uciekać! — zawołałem. — Jakże ja mogę uciekać? Wszak zostawiłem bryczkę, konie i rzeczy w waszym zajeździe...

— O! o to niech pana głowa nie boli. Policja nie wie o tem, że pan do nas przyjechał swymi końmi. Niech pan tylko powie, gdzie będzie czekał, a ja, jak się nieco ściemni, sam przyjadę ze wszystkiemi rzeczami.

— Policja pana nie zna, ma tylko rysopis tego kpa, pańskiego furmana (Grześ znowu się poruszył i coś mruknął, alem go ręką powstrzymał). Ale oczywiście, gdy pana z nim zobaczą, odrazu będą wiedzieli, czego się trzymać. Ja też boję się długo z panem rozmawiać, żeby mię szpicle nie dostrzegli. Niech się więc pan decyduje, co i jak ma być zrobione.

— Dobrze — odrzekłem — skoro tak, to przyjeżdżaj przed handel Wencla w Rynku. Będę tam na kolacji.

Służący przez chwilę namyślał się, wreszcie rzekł:

— Dobrze — najdalej za godzinę będę... jak się tylko ściemni.... I niech pan kolację prędko zjada, bo tu nie czas o jedzeniu myśleć.

To rzekłszy, skłonił się lekko i pobiegł w głąb ulicy. Przez chwilę stałem jakby oszołomiony, wreszcie skierowałem się napowrót na Rynek do owego handlu Wencla, gdziem miał czekać na konie i bryczkę. Ta nocna ucieczka z Krakowa w najwyższym stopniu mi się nie podobała. A wszystkiemu temu winien Grześ jego skłonność do gorących napojów, do zwad, i awantur, i jego niepowstrzymane gadulstwo. Doprowadzony tem do szalonego gniewu, wpadłem więc na stropionego zupełnie chłopaka i począłem go łajać.

W milczeniu i z pokorą, która mię zresztą rozbroiła zupełnie, słuchał moich wymówek i gróźb, i tylko od czasu do czasu ściskał pięście, zgrzytał zębami i strasznym wzrokiem patrzał, ilekroć przechodził koło nas jaki oficer cesarski.

— Wszyćko to prawda — zakończył wreszcie — nikt, tylo ja jezdem winny i grzeszny. Markotność też wielga ściska mi wątrobę. Ale to już nijak inaczej być nie może, jeno ja muszę jakie „krowie nogi" uśmiercić i ulżyć też bez to swemu sercu.

— Ani mi się waż! Żadnych awantur! Zapowiadam ci. Inaczej, to cię rzucę na drodze i niech cię, hyclu jakiś, Austrjaki obwieszą.

— Że hycel jezdem, ani słowa przeciw temu rzec nie mogę. Ale to wszyćko bez tę gorzałkę.

— A czemu pijesz?

— Kieliszek jeno wypiłem, ale że to człek niewyspany i też skwar był wielgaśny, więc mię sparło skrzynkę. Ale ja to wszyćko naprawię.

Tak rozmawiając, doszliśmy do handlu Wencla. Nie upłynęło i pół godziny, gdy stary Wencel dał nam znać, że już bryczka zajechała. Wybiegliśmy co żywo, bo niepokój mię straszny trapił i zły byłem, że przebywszy tyle niebezpieczeństw, w chwili, gdy pewny byłem szczęśliwego osiągnięcia mego celu, nagle stanęła mi w drodze taka ciężka przygoda.

— Panie! — szeptał służący z zajazdu — niech pan siada i ucieka. Policja otoczyła cały zajazd i czekają na pana. I mnie mają w podejrzeniu i ledwie mię puścili. Boję się, czy jaki szpicel za mną nie poszedł.

Oglądał się dokoła trwożliwie, nadsłuchiwał i nalegał na mnie, bym siadał i uciekał. Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Obdarzywszy poczciwego chłopca paru dukatami, skoczyłem na bryczkę i krzyknąłem na Grzesia, siedzącego już na koźle.

— W konie! i nie żałuj ich!

Ruszyliśmy z kopyta. Niebawem wyjechaliśmy za mury miejskie i drogą, do Oświęcimia prowadzącą, puściliśmy się nieomal cwałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# MODLITWA SIEROTY.



*Do stóp się Twoich ścielę, o Pani!*
*I serce moje składam Ci w dani*
*I błagam ze łzą serdeczną w oku,*
*Czekając kornie Twego wyroku.*
*O Matko moja! Jam taka biedna,*
*Bom ja na świecie jest sama jedna,*
*Któż mnie pocieszy w ciężkiej potrzebie?*
*Więc się uciekam dzisiaj do Ciebie!*

*Niech spłyną na mnie Twe blaski złote,*
*Pociesz, o Matko, biedną sierotę.*
*Bądź opiekunką mą nieustanną,*
*O Ty Najświętsza Marjo Panno!*
*Ojców mych drogich ciemna mogiła*
*Obojgu w wieczny sen utuliła,*
*A ja, sierota, samam została,*
*Bym się nieszczęsna łzami zlewała!*

*Pociesz, o pociesz mnie, Droga Pani,*
*Wyrwij z tych smutków, cierpień otchłani,*
*Albo, o Matko, ja błagam Ciebie,*
*Weź mnie corychlej, weź mnie do siebie!*

*Antoni St. Bassara.*

ROMAN ZMORSKI.

# Baśń o Sobotniej Górze.

**(Z opowiadań ludowych śląskich.)**

Poczciwa jedna staruszka, wdowa, miała trzech synów, których niezmiernie kochała. A był każdy z tych synów innego rzemiosła.

Najstarszy był przy parafjalnym kościele organistą, wielce mądrym i uczonym, że czytał ną każdej książce i z pisanego — i podobnoć, że samby mógł kantyczki składać. Był przeto w wielkiej powadze u wsi całej, ba! i u samego plebana.

Drugi, średni, sługiwał wojskowo i był rycerz bardzo zacny; tułając się zaś po różnych krainach, napatrzył się i nasłuchał niemało takowych rzeczy, o których nikt dotąd doma jako żyw nie słyszał, i przeto także miał szacunek ludzki, jako rozumny a wojenny mąż.

Najmłodszy brat był sobie po staremu chłopem, orząc ziemię w pocie czoła, jako ojce jego przedtem, i niewiele dbając ani na mądrość brata organisty, ani na nowiny żołnierza; dlaczego też u obydwu w niewielkiej stał cenie i głupcem od nich zwan był.

Wszyscy zaś trzej bracia, jako poczciwi synowie, płacili za miłość matce wzajemną serdeczną miłością ,starając się dnia każdego, by radość i wszystko dobre było z nią w starości jej.

Aż oto dnia jednego stało się nieszczęście: niebogą starowinę porwały w nocy boleści niezmierne, od których, jęcząc, pobudziła synów, że zbiegli się do jej łoża, wielce strapieni i trwożni, a co począć niewiedzący.

— Jużno ja tutaj przy matce zostanę i czuwać będę nad niemi; a wy jeno bieżcie co żywo do m ą d r e j, w lesie u starej mogiły, by przyszła chorej z pomocą! — rzekł do braci organista.

Oni tedy górą, dołem, biegli do starej mogiły, do spustoszałej chaty, gdzie m ą d r a mieszkała, i, znalazłszy babę, wiedli w skok do wioski. Kiedy byli blizko domu, ażci organista stoi przed wrotami.

— A co? jak matce? — spytali.

— O! jużci lepiej lepiej być musi, bo przestali całkiem jęczeć, leżą, leżą cichutko w łóżku, pewnie śpią...

Baba weszła do chałupy, stanęła koło łoża, dotknęła ręki staruszki i rzekła, kiwając głową:

— Iścież waszej matce lepiej, a nic nie boli już jej, bo oto cała skostniała, widać chwila, jak już zmarła.

Na te słowa w chałupie powstał lament niesłychany. Wszyscy trzej synowie zawodzili jęki, tłukąc głowami o ścianę i rękoma rwąc do krwi ciało tak okropnie, że aż baba, co jako żywa nigdy jeszcze żalu takiego w ludziach nie widziała, zlitowała się nad nimi.

— Ha! jeżelić tak straszny po matce wam żal, toć wiem jeden jeszcze sposób wrócić ją do życia; będzie tylko który chciał narazić własnego żywota? Pomódz jej może choćby kropla żywej wody, co za trzema puszczami bije na Sobotniej Górze, z pod gającego drzewa, na którem siedzi zaczarowany sokół. Zajść i nazad powrócić, stanie na to siedm dni czasu; ale wielu już chodziło, żaden zaś dotąd nie wrócił z tej drogi. Kto chce wnijść na wierzchołek góry, musi iść prosto przed siebie, bądź co bądź spotkałby na drodze albo za sobą posłyszał, broń Boże jeden krok w prawo, lub krok jeden w lewo zboczyć, albo spojrzeć poza siebie; w tej chwili wrośnie kamieniem do ziemi. A jest na owej górze pokus i strachów niemało, tak, że nikt jeszcze, jako ona stoi, do wierzchu dojść nie potrafił. Chceli który z was szczęścia próbować? Niechże pójdzie przynieść stamtąd wody, a matka wasza żywa będzie znów. Droga do góry za południem słońca.

Ledwie baba za drzwi wyszła, bracia dalej z sobą w radę. Każdy zarówno rad był iść w drogę naprzeciwko wszystkim strachom, byle wskrzesić zmarłą matkę; lecz średni brat się odezwał:

— Słyszeliście, moi bracia mili, że w tej podróży trzeba nielada odwagi; iścież tedy mnie ona przypada. Jać, com już nieraz zajrzał śmierci w oczy, pewno się byle czego nie zlęknę i choćby djabłu kroku dostoję. Dajcież mnie, że tam pójdę, a w tydzień oczekujcie powrotu mojego, z żywą wodą naszej matce.

I, pożegnawszy braci, przypasał wielki miecz do boku swego i puścił się w świat, idąc za południem słońca...

Minął dzień jeden, i drugi, i trzeci, wreszcie tydzień się ku końcowi miał. Bracia w domu pozostali wyglądają niecierpliwie; żołnierza znikąd ni widu, ni słychu. Gdy tydzień z górą już minął, biegli do baby po radę, czemu tak długo brat ich nie powraca.

— Daremnie go czekacie — odpowie im mądra baba — już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej Górze, kamieniem w ziemię wrośnięty...

Zafrasowali się okrutnie bracia, a powracając do domu, sporzyć się ze sobą wzięli, któremu teraz iść w drogę po żywą wodę dla matki? Lecz organista rzecze z urąganiem:

— Co? ty? — ty, głupcze! tybyś miał tam wskórać, gdzie twój brat nie wskórał? Lepiej tam głowy potrzeba, żeby się nie dać zwieść szatańskiej mocy. Jać to wiem dobry sposób na djable pokusy: niechno tam tylko pójdę z kropidłem, a zaklnę biesa po łacinie, zobaczysz, czy mi podoła!

I wziąwszy na się kropielnicę z kościoła, w rękę kropidło, książkę za nadrę, ruszył za południem słońca...

Znów minął dzień, drugi, trzeci — tydzień cały; brat młodszy próżno wypatrywał z chałupy za swoim najstarszym; ni go widu, ni go słychu... Biegł tedy znowu do baby po radę, co znaczy, że brat nie wraca?

— Daremnie za nim nie czekaj! — odpowiedziała mu baba — już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej Górze, kamieniem w ziemię wrośnięty.

Zafrasował się syn wdowi bardzo nad brata wtórego utratą; ale niewiele myśląc, biegł co tchu do domu i wziąwszy bułkę chleba do opałki, kosę sobie nastawiwszy, przewiesił je przez ramiona i poszedł ku południowi słońca.

Szedł jeden dzień, drugi, trzeci dzień; przez trzy rzeki się przeprawił, przez trzy wielkie przeszedł bory; na trzeci dzień o zachodzie słońca, stanął pod Sobotnią Górą. Stanąwszy, pojrzy: aż tu góra niezmierna, że wierzchu za chmurami nie widać, dźwiga się stromo ku niebu, a za nią ze wszech stron las czarny. Ogromne dęby, sosny, buki, jodły, jakby jedno na drugiem wyrastało; sterczy drzewo ponad drzewem, coraz wyżej. Pomiędzy niemi, na ziemi, gąszcz cierni, głogów i ziół jadowitych, rumowiska skał ogromnych, zielone całe od wilgotnych mchów, pośród nich żmij, padalców, gadów całe gniazda wiją się i syczą okropnie... Strach spojrzeć, cóż dopiero iść tam! a znikąd ścieżki, ni drogi...

Wdowi syn podumał chwilę, wspomniał na matkę swą martwą i, wziąwszy Boga na pomoc, począł się drapać ku górze. I darł się coraz to dalej, nie dbając na ostre skały, na żmije co mu nogi obwijały, ką-

sając żądły bolesnemi; ani na zielska trujące, co mu szarpały ciało kolcami i do ust same się cisnęły obmierzłym, śliniącym swym owocem. Niedaleko jeszcze uszedł, aliści jedną razą słyszy za sobą wołanie:



— Hej! hej! człowieku! a gdzie to idziecie? Zbłądziliście, nie tędy droga!

Już, już się miał obejrzeć: szczęściem przypomniał sobie słowa mądrej baby i, nie dbając na owo wołanie, szedł prosto przed siebie. Za chwilę, po lewej ręce, zjawi się przy nim drugi podróżny, kuso z niemiecka ubrany.

— Dzień dobry — rzecze kusy, zdejmując grzecznie trzyrożny kapelusz — a dokąd to, przyjacielu?

— Juści że nie gdzie, jeno na tę górę — odpowie syn wdowi.

— A czego to wam trzeba?

— Idę nabrać żywej wody.

— A no! to nam jedna droga, bo i ja także idę za tą wodą .Idźmy razem ze sobą, będzie nam weselej.

— Jak sobie chcecie.

— Ale nie tą przecie drogą! Poco tu drzeć się i krwawić, kiedy, spojrz na lewo, wygodnie drogą iść można.

Wdowi syn spojrzał na lewo i w rzeczy samej zobaczył wygodny, gładki jak stół gościniec, lekko ślimakiem wijący się ku górze.

— No, chodźże na drogę! — nalegał Niemczyk.

— Idź sobie sam, kiedy chcesz; ja pójdę tak, jak zacząłem.

— Ależ pójdź bo!

— Mówię ci, że nie pójdę.

— To idźże sobie, głupcze, na złamanie karku! — Zazgrzytnął z wściekłością Miemczyk, odskoczył w stronę i zniknął...

Wdowi syn piął się, jak począł, przed siebie, aż wtem posłyszy za sobą nagle trzask i hałas niesłychany, szczekanie, wycie, jakby tysiąca sforów psów i wilków, i szczwanie djabelskim głosem: huź go ha! huźha! huźha!... Coraz bliżej, cora zbliżej dogania go ujadanie straszliwej psiarni, już to za nim, już oto za nogi go chwyta... Tylko co się miał obrócić, kosą się od nich odegnać, alić wspomniał sobie na rady mądrej i, zamiast po za siebie, dał przed się krok żywo. W tej chwili wrzask, trzask, szczwanie, szczekanie ucichło; tylko śmiech długi, rozgłośny z wichrem zaszumiał po lesie...

Jeszcze nie zdążył ochłonąć z przestrachu, a oto już idzie strach nowy. Razem, wśród ciemności nocnej, taki od wierzchu góry blask uderzy, jak gdyby słońce, co już dobrze zaszło, znów na jej szczycie wschodziło. Zdziwiony, podniesie głowy i widzi, że las calutki, co na jego drodze stoi, płonie w jednym płomieniu, aż całe niebo goreje od łuny, jakby od słonecznych zórz. Im bardziej zbliżał się ku niemu, tem bardziej płomień rósł i buchał; gorąco, jeszcze zdaleka, poczęło go piec, a przed oczyma jego ogromne drzewa puszczy, jak rozpalone głownie w kominie, całe roziskrzone, padały z trzaskiem jedna na drugą, grodząc przed nim drogę.

Na ten widok ogarnął go strach okropny; lecz kiedy wspomniał na swą martwą matkę, zapomniał wszelkiej trwogi i rzucił się w bór ognisty. I choć w żarzewiu nogi do kolan mu grzęzły, dech gorąco zatykało, dym czarny oczy mu wyżerał, szedł na oślep poprzed siebie: aż cały zziajany, poparzony, bez tchu prawie, przedarł się wreszcie za to piekło ogniste i lżej nieco odetchnął.

Wyszedłszy, spojrzy przed siebie: aliści i wierzch już blizki! Lecz gdy raz wtóry spojrzy znów ku górze, radość się rychło w kłopot i smutek zmieniła, kiedy



zobaczył skałę, jako ściana prostą, sterczącą wśród drogi swojej. Dopiero gdy wejrzy raz trzeci, widzi, — tuż u spodu skały czerni się ogromna jama, a u wnijścia jej śpi, chrapiąc, straszny, siedmiogłowy smok... Wdowi syn zcicha podkradać się począł, chcąc we śnie groźnego potwora zabić.



Ale smok, skoro ludzkie kroki posłyszał, zerwał się ze snu na nogi, zaryczał wszystkiemi siedmioma paszczami, aż się wstrząsła góra cała, i kłapiąc strasznie zębami, ziejąc siarczyste płomienie, szedł przeciw niemu. On też, nie czekając, poskoczył naprzeciw bestji: siedm razy kosą świsnął, — a ciął, to padnie łeb smoczy i krwią pluszcząc, w dół się toczy... Kiedy ostatni łeb odpadł, wdowi syn wszedł w jamę smoczą.

Smocza jama była straszna, ciemna, aż czarno, siarczystego dymu pełna, a ciągnęła się tak długo, jakby końca nie miała. Biednemu wędrowcowi język w ustach kołem stanął, przyschły do podniebienia od pragnienia i duszącego paru.

(Dokończenie nastąpi).



# MACIEK BZDURA GADA:

Jak pedziałem przed dwoma tygodniami, wybory do sejmu coraz bardziej się zbliżają i lada rok już będą. A poznać to po wszystkiem. Naprzód więc ci wszyscy posłowie, którzy dotychczas do góry brzuchem się pod pierzyną wylegiwali, nagle się przebudzili i na rozmaitych wiecach zacynają Ojcyznę zbawiać. Ci, co z panem Marsałkiem trzymają, to powiadają, że jest dobrze, a byłoby jesce lepiej, gdyby pana Marsałka całą kupą poparli, toby se ze wszyćką bidą dał rady. Ci, którem się pan Marsałek nie podoba, a nie podoba się im dlatego, bo jak powiadają, jest za morowy, to ci znowu mówią, że wprawdzie pan Marsałek nieźle rządzi, ale oni, jakby ino chcieli i umieli, toby także taksamo rządzić potrafili, a może jesce i lepiej. Tak tedy co jeden to jest morowsy, a wszyscy insi u niego funta kłaków Kaścynych nie warci.

Ale mnie się ani ci, ani tamci nie podobają. Ja wiem, że jak przyjdą wybory, to trzeba sukać takiego człowieka, któryby był i mądry i ućciwy, któryby miał ochotę do roboty i sed ino ciągiem za prawdą. A jak się tak rozejrze po całej okolicy, to o takiego cłeka okrutecnie trudno. Znam ja jednego takiego, ale nie wiem, cy ludziska na niego zechcą głosować, bo mu całą reputację gotowe baby popsuć. Znacie go i wy wszyscy, choć może nie z widzenia, ale z fotografije w „Roli". I tego człowieka kandydaturę już dzisiaj zgłasam, aby miał jako lumer jedynkę, bo przed pięciu laty u nas wszyscy na jedynkę głosowali.

Jest to jesce kawaler, lat średnich, nie zeniaty, a i to przecie w dzisiejsych casach coś znacy, nikomu jesce nic się ukraść nie udało, nikogo nie zabił, ani nie nabił, nikogo nie osukał, bo w Psi Wólce nima takich durnych, coby się osukać dali. Żyje po Bożemu, co niedzieli chodzi do kościoła, codziennie pacirz gada, nie tylko w piątek, ale bez cały rok mięsa nie jada, bo mu gospodyni nie dadzą. Jest pracowity, nicem koń, bo go gospodarz pędzą do roboty. Nie pija żadnej trunkowości, bo ni ma za co. Takiego ja, nie chwaląc się, znam i wszyscy znacie, ale wam nie powiem, kto to jest, boby mi Kaśka ślipia wydarła, że się pcham do Warsiawy, aby se tam jaką lafiryndę wynaleść, jak se powynajdywali insi, którzy przez te pięć lat byli posłami. No nie wszyscy, ale byli tacy, co rodzonej babie kazowali w chałpie i gnój wyrzucać, i ogony ochędożyć, i do żniwa pójść, a nawet w zimie cepami na boisku Boże nasienie ze słomy wytrzepywać, a sami se siadali na hajzybon, na wyścielanych ławeckach, wsadzali cygaro w gębę i zabezdurno jechali do Warsiawy. Baba w chałpie mozoliła się z pędrakami, kikuty se po łokcie ucharowywała, a pan poseł sed w Warsiawie na jednego, alibo i więcej silnej z mocną i warsiawskiem brzanom gitarę na lewo zakręcał.

Za to ten, którego ja mam na myśli, jakbyście wybrali, to pewnikiem kolejąby do Warsiawy nie jeździł, bo od cegóż mi Poniezus dał nogi, a zreśtą chodzenie mi nie nowina, bo przecie co Zielną na Kalwaryję piechotą dymam i jesce mi łapy nie odpadły. Ja w Warsiawie choćbym se wysukał jaką brzanę, to nie byłoby to nic strasnego, bom przecie kawaler, a przecie i sam Pan Bóg od tego nie jest, żeby kawaler miał jaką taką makolągwę, któraby mu łachy raz na rok wyprała, zryć ugdysiła i gdy potrza łepete przeiskała. A że Pan Bóg nie był temu przeciwny, to najlepsy dowód w tem, że jak Jadam był jesce w raju kawalirem, to mu Poniezus na łapes capes byle z cego, bo z kości, babę ugdysił i dał mu ją na wyłącną własność, aby z nią robił, co mu się rzywnie podoba.

Jakbyście tego, o którem ja mówię, wybrali, to jabym się tam w Warsiawie nie upijał, jak wielu z dotychchczasowych posłów robiło, ale tak umiarkowanie trzepnąłbym se parenaście zwykłej śmierdziuchy, a z tego miałbym ja ukontentowanie i jaki warsiawski Mosiek cojniecoby zarobił.

Znam ja takiego, ale kto on jest, to wam nie powiem, bo pan Kowalcyk moje gadanie wyrzuciłby z „Roli", jako że ona nie jest polityczna i przy wyborach nie będzie żadnej strony trzymać, więc i mojej nie może. Ale że zagadki są w „Roli", więc niechże ta kandydatura będzie dla was zagadką, ino ją nie po wyborach, ale przed wyborami odgadnijcie i wszyscy na mnie głosujcie. Ament.



## Szyny.

*Biegną jak tęcza, spętane, skręcone,*
*Biegną w dalekie krainy,*
*Z światem mistycznym niby złączone*
*Biegną w Nieznane... szyny.*

*W bitwie poczęte, walką człowieka*
*Sieczą pancerzą świat cały,*
*Oko w horyzont po nich ucieka*
*Lotem ognistej strzały.*

*Jęczą rozsnute po całej ziemi*
*Mocą i wolą stalową,*
*I przez tunele dźwiękiem prutemi.*
*Biegną nauki osnową.*

*Świecą się białe, wyszlifowane*
*Kołami bystrych pociągów,*
*Wolą człowieka zahartowane*
*W rzędzie spiżowych posągów.*

*Po nich mocarne mkną w dal demony,*
*Paszcze ich ogniem nabrzmiałe,*
*W hutach poczęte, myślą zrodzone*
*Na podbój świata powstały.*

*Przeszły, przemknęły, ziemię objęły,*
*Poczęły pochód do planet,*
*Wryte, zwycięstwem świat owładnęły*
*I tną powietrze jak djament.*

*Świecą się szyny śrubą skręcone,*
*Wżarte w głębokie tunele,*
*Energją, mocą naszą zdwojone*
*Na świat z pod ziemi wystrzelą.*

*Świat opasały, bronią człowieka*
*I dzwonią hymnem godowym,*
*Nić ich wsie, pola, miasta przesieka*
*Z wiekiem elektro-parowym.*

*Donat Lesiowski.*

KLEMENS JUNOSZA

# Abraham Pinkt i Mateusz Sikora.

— Mówicie: ptaszków, — rzekł sędzia — więc złodziei było kilku?

— Pewnie, że kilku...

— Ale ilu? dwóch? trzech?

— Nie mogłem porachować, gdyżem ich nie widział...

Barnaba nie wytrzymał, musiał wtrącić uwagę:

— Koguciński złodzieja nie może zobaczyć, ale pensję i ordynarję dobrze widzi.

— Toć nie jestem, za pozwoleniem, kot, ani sowa, żebym w nocy mógł widzieć — odciął się Koguciński.

— Do rzeczy, do rzeczy — odezwał się sędzia. — Niechże Koguciński powie, ilu złodziei było?

— Prześwietny sądzie, nie mogłem porachować, bom ich na oczy nie widział...

— Skądże więc domysł?...

— A tak... ja idę za łoskotem, gdzie niby złodziej rąbie... a ten łoskot naraz słychać gdzieindziej; rąbał ktoś od wschodu, nagle zaczyna od południowej strony, tuż przy mnie. Zdaje się, że dość ręką sięgnąć, aby go złapać... Ja też w te pędy, przypadam... tfu! niema nikogo. Rozstąp się, ziemio! przepadł... a tu znowu zaczyna rąbać prawie że za mojemi plecami. Jużem się rozjadł i sprawiedliwie powiadam, żebym był tylko zobaczył, kto mi takie sztuki robi, tobym nie zważając co będzie, strzelił, jak do jasnej świecy... Coraz tak mnie zwodzili, to tu, to siu, zdeptałem het las... bo mnie ganiali i wodzili do samego rana. Dopiero już na rozwidku dopadłem do miejsca, gdzie naprzód stukało. Patrzę, dąbek ścięty ładnie, przy ziemi, czyściuchno, wierzch odpiłowany i też zabrany, jeno gałęzie zostawione... Szukam śladów, ba! szukajże... zdeptany śnieg w około i skotłowany... Ja sam go najwięcej zdeptałem, biegając od drzewa do drzewa.

— To byli chytrzy złodzieje — wtrącił ławnik, — kradli z omanką.

— A z omanką, proszę prześwietnego sądu, ścinał jeden drzewo naprawdę, drudzy manili i wodzili mnie po lesie.

— Jakże dalej było? — spytał sędzia.

— Rozwidniło się już całkiem, — prawił Koguciński, — ludzkich śladów nie oglądałem, bo najwięcej było moich własnych, ale szedłem za śladem sani... Wyraźny był znak, że przyjechał od gościńca, koło dąbka stanął, zawrócił i wywiózł go też na gościniec. Szkapa była tylko na przedzie nogi kuta i podkowy miała stare, stępione... właśnie jak Mateuszowy koń.

— Prześwietny sądzie — rzekł Mateusz, — kowal żyjący jest, może poświadczyć, jako tydzień temu okuł mego konia na ostro... jeszcze mu nawet nie zapłaciłem.

— Przez tydzień podkowy mogą się stępić, — rzekł Koguciński. — Co się macie zapierać, Mateuszu, lepiej się przyznajcie po dobroci, to sąd będzie dla was miłosierniejszy i koza lżejsza...

— Idźcie wy!... Do czego mam się przyznać, skoro nie tylko dąbka, ale nawet patyka marnego nie ruszyłem?

— Sikora nie po raz pierwszy oskarżony jest o tego rodzaju sprawki — rzekł sędzia.

— Złych ludzi nie brak na świecie, — odrzekł chłop poważnie, — skarżyć mogą, bo sąd prześwietny jest cierpliwy i lada bajów słucha, ale za rękę nikt mnie nie złapał...

— Niech Koguciński mówi dalej.

— Prześwietny sądzie! Powiadam i mówię sprawiedliwie... odrazu miałem na Mateusza posądek, bo nawet kiedyś spotkałem go w lesie i widziałem, jak się owemu dąbkowi przyglądał, właśnie tak patrzył na niego miłosiernie, jak kot na sadło, aż się oblizywał, bo też to, proszę prześwietnego sądu, i dąbek był ładny, czy na podwalinkę, czy na słupy samo prawie... Tedy pewny byłem, że to Mateuszowa sprawka; żeby zaś z gołą gębą do prześwietnego sądu nie przychodzić, pobiegłem na wieś, wprost do jego chałupy. Pytam o Mateusza, powiadają, nie masz go; zajrzałem do stajni, konia niema... mówię do jego baby: — Moja Mateuszowa, pożyczcie mi siekiery, bo moją ktoś ukradł. Baba szuka po kątach, siekiery niema... Jego niema, konia niema, siekiery niema... tedy jasne jest, że dąbek ukradł nie kto inny, tylko Mateusz...

— Prześwietny sądzie! — zawołał ekonom, — niech prześwietny sąd wyda surowy wyrok, według tego, żeby na drugi raz cudzego drzewa nie ruszał.

— Co ma na swoją obronę Mateusz Sikora? — zapytał sędzia.

— Po sprawiedliwości powiadam, że Koguciński baje jakby się szaleju objadł; ani mnie nie widział w lesie ani mnie na uczynku nie złapał, bo i nie mógł złapać, skorom nie kradł.

— A gdzieżeście byli czwartkowej nocy?

— W mieście, prześwietny sądzie, z żydami miałem do czynienia.

— Całą noc?

— Do czynienia miałem w dzień i wieczór, a w nocy spałem.

— Gdzie?

— U Abrama Pinkta.

— Któż to widział?

— Właśnie Abram tu jest i jeszcze cała gromada żydów, co może zaraz zaświadczyć, jako powiadam szczerą prawdę, bez żadnego kręcicielstwa.

Sąd zgodził się na zbadanie tych świadków.

Pierwszy stanął przed kratkami Abram Pinkt.

— Czy znacie Mateusza Sikorę? — zapytał sędzia.

— Kto nie zna Mateusza Sikorę? cała okolica go zna. Jest znaczny gspodarz.

— Czy widzieliście go czwartkowej nocy?

— Dlaczego nie miałbym go widzieć? On u mnie nocował. Z wieczora przyszedł i mówi: nie chce mi się po nocy jechać do domu, jestem słaby i prześpię się u was. Dlaczego nie? Miałem mu miejsca na podłodze żałować? Mówię: owszem, kładźcie się, śpijcie z całą wygodnością. On też się układł koło pieca, na podłodze i spał do białego dnia. Już nasz szkolnik do okien stukał, żeby żydzi do bóżnicy szli, a on jeszcze spał; na drugi dzień rano kazał sobie przystawić bańki. Jankiel Mydło, felczer, mu stawiał całe pół kopy. Już było pewnie koło południa, jak Mateusz skończył swoją kurację, napił się dwa razy gorzałki i pojechał do domu.

— Czy wiadomo wam, po co Mateusz Sikora przyjeżdżał do miasta?

— Aj, aj... po co miał przyjeżdżać? po to, co i najpierwsi panowie do miasta przyjeżdżają, chciał dostać trochę pieniędzy od żydków... On czasem bywa w potrzebie, to się chce ratować...

— Jak dawno Abram zna Mateusza Sikorę?

— Dawno... ile lat nie mogę porachować, może dwadzieścia, może trzydzieści, może więcej...

— Proszę pana sędziego, — wtrącił ekonom, — ten żyd to Mateusza spólnik, on kradzioną zwierzyną handluje...

— Niech pan ekonom nie robi komu dyfamacji, bo ja też mogę powiedzieć, jakiem pan zbożem handluje.

— A tobie co do tego?

— Mnie nic, ale dziedzicowi może... Ja myślę, że dziedzic ma dużą ciekawość do takich spekulacyj.

— Cicho! — zawołał sędzia, — to do sprawy nie należy. Abram ma zeznawać. Więc Mateusz Sikora noc czwartkową przepędził u was w waszym domu?

— Nie mogę powiedzieć, że w moim...

— A w czyim?

— Prześwietny sądzie, ja nigdy nie wdaję się w fałsz, żyję samą prawdą; jak staję za świadka, to choćby za rodzonym ojcem nie powiem gorzej, tylko tak jak prawda, i dlatego nie mogę z czystem sumieniem powiedzieć, że Mateusz w moim domu nocował. Cha! cha! żebym ja miał ten dom! byłbym bogacz, ale prześwietnemu sądowi wiadomo, co to są domy żydowskie... niby jest dom, a nie jest, niby jest gospodarz, a nie gospodarz. Burmistrz, sam pan burmistrz może zaświadczyć, co się dzieje, jak przyjdzie płacić podatki. Czyste rozbójstwo się robi. Biją się, kłócą, krzyczą, ten na tego spycha, tamten na owego, niech Bóg broni.

— To do sprawy nie należy.

— Owszem, proszę prześwietnego sądu, należy i bardzo należy. Sąd się pyta, czy Mateusz nocował w moim domu?

— Tak.

— No, ja przysięgałem, ja chcę czystą prawdę powiedzieć, ani trochę więcej, ani trochę mniej, tylko czystą prawdę jak szkło. Dom nie jest mój, choć nie mogę też przysięgać, że jest wcale nie mój. Ja jestem Abram Pinkt, a do tego domu ma jeszcze prawo Lejzor Pinkt i dzieci Symchy Pinkta, co już nie żyje, i Janklowa Brodawka, i Boruchowa Migdał, co są moje rodzone siostry, a po panieńsku także się nazywają Pinkt. W tym domu nocował Mateusz...

— Dobrze, ale w waszem mieszkaniu?

— Trochę w mojem, a trochę nie w mojem...

— To ma znaczyć, że część nocy przepędził u was, a część gdzieindziej?

— Nie, on wszystkie części nocy przespał u nas; od wieczora do północka, od północka do świtu, i od świtu do białego dnia też...

— Jakto u nas, co mam przez to rozumieć?

— Niech prześwietny sąd rozumie, że teraz są ciężkie czasy... człowiek szuka dochodu... bo dochód wcale nie chce szukać człowieka... Chwalić Boga, mam swoją stancję, ale nie jestem wielki pan, ani hrabia, żebym sam ze swoją familją w całej stancji mieszkał... więc odnajmuję dwa kąty; jeden trzyma Wigdor Katz, drugi Nehemja Rosendorf, bardzo porządni kupcy, po czterdzieści groszy tygodniowo za komorne mi płacą. Oni też widzieli, jako Mateusz przyszedł z wieczora, jako był trochę słaby na plecy i przez to chciał się wygodnie wyleżeć dla odetchnienia i wypoczynku... Ja mu tego nie broniłem, położył się na ziemi i spał...

— Któż to widział?

— Kto? Wszyscy... Wigdor Katz, Nehemja Rosendorf, oni też spali, każdy na swojem łóżku, a oprócz tego byli u nas parę kilku uczciwych żydków: Mendel Kobiałka, Chaim Szymszel Rotfisz, Berek Lejb Kocker, Uszer Dreidełszpil, Chuna Kiwa Kaprawy, Mojsie-Laibele Gancleben... był też i Fiszel Spokojny i Majer Mendel Dubeltówka...

— Dosyć!... Abram wyliczasz cały spis ludności miasteczka...

— Broń Boże, ja tylko powiadam prawdę, kto był...

— W jakim celu zgromadziło się tylu żydów u Abrama?

— Ja powiem całą prawdę... Nehemja Rosendorf, co w mojej izbie mieszka, robił chrzciny dla swego synka, co jemu przybył niedawno... do takiego interesu potrzeba dziesięć żydków; to on ich akurat tyle zaprosił. Osiem gościów, a Wigdor Katz i ja, to razem dziesięć, niech prześwietny sąd sam porachuje. Z tych dziesięciu żydków jest tu dziś we wsi sześciu, oni stoją przed sądem, można ich zaraz zawołać, oni poświadczą, że widzieli, jak Mateusz spał, jak okropnie chrapał... Na moje sumienie, chłopskie spanie musi być bardzo ciężkie, bo takiego chrapania ja w mojem życiu nie słyszałem. Widać Mateusz w sercu miał feler, skoro i bańki także na drugi dzień stawiał...

Sędzia zwrócił się znów do Mateusza.

— Po co jeździliście do miasteczka?

— Podług poratowania zdrowia... jako mnie okrutnie w plecach rozłamało, że całkiem dychać nie mogłem, i podług pożyczenia pieniędzy....

Wezwani żydzi stwierdzili bytność Mateusza w miasteczku nocy czwartkowej.

Sędzia kiwał głową, ławnicy uśmiechali się. Wystąpił przed kratki ekonom Barnaba.

— Cygaństwo to wszystko, prześwietny sądzie, — zawołał, — takich świadków, jak Mateuszowe świadki, można dostać za dwa złote kopę... Zwąchały się żydy z tym oto starym rabusiem i bronią go, ale sprawiedliwość prześwietnego sądu nie da się otumanić... Koguciński jest dawny gajowy, wypraktykowany, złodziejów leśnych zna na durch, po chodzie wymiarkuje każdego... toż skoro Koguciński świadczy, wiara przy nim powinna być... Mateusza w domu nie zdybał, konia nie zdybał, ani siekiery też... a przecie do baniek stawiania siekiera mu nie była potrzebna... Ja z przeproszeniem prześwietnego sądu nosem czuję, że Sikora dąb ukradł. To złodziejstwo w nos bije... Jego sukmanę jeszcze do tej pory czuć świeżą dębiną... jeszcze nie wywietrzała...

— Aj waj, — odezwał się półgłosem Abram, — jaki czujny nos... widać dlatego taki czerwony jest...

Barnaba, nie zważając na przycinek, prawił dalej.

— Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi... wiemy czem się Sikora trudni... Czy go kto widział kiedy przy robocie, jak gospodarza, żeby orał, bronował albo młócił... Żebym tak spuchł, jeżeli ten chłop bierze kiedy cepy do garści... Nocą tylko myszkuje jak borsuk, zwierzynę niszczy, drzewo kradnie, i dopieroż, z kochanym Abramem w handelek się bawi... Abram też znany cygan jest, kradzione kupuje, to właśnie jakoby sam kradł...

— Ja bardzo proszę prześwietnego sądu, — odezwał się Abram, — całe to paskudne gadanie żeby było zapisane... Ja pana Barnabę będę skarżył o potwarz...

— Dość — rzekł sędzia; — Mateusz Sikora, czy masz jeszcze co do powiedzenia?

— Mam.

— Więc mów.

— A to dopraszam się łaski prześwietnego sądu, żeby tego pijaczynę ekonoma i Kogucińskiego wsadzić do kozy za bałamucenie sądu i spokojnych ludzi, jako że każdy ma swoje zatrudnienia.

— To nie należy do sprawy, — mruknął sędzia, i wraz z ławnikami opuścił salę.

— Poczekaj, kochany Mateuszku, — rzekł Barnaba, — wnet się o swoim losie dowiesz... Jak posiedzisz z pół roku w kozie, to ci dębina nie będzie pachniała.

— Aj, proszę pana Barnabego, — rzekł Abram, — za co pan taki zawzięty? za co pan chce gubić Mateusza i pisaniem i gębą i nawet nosem, kiedy ten człowiek całkiem niewinny jest... Za co pan go chce gubić?...

— Bo kradnie...

— Fe, nie trzeba mówić takie brzydkie słowo... prawda, Mateuszu...

— Pewnie...

— Ho, ciekawym dlaczego? — zapytał groźnie ekonom.

— Bo może się stać panu ekonomowi jaka zła przygoda...

— Ho! ho! odgróżki... Nie boję się... nie z takimi ja już miałem do czynienia...

— Ot, co to po próżnicy gadać. Pan ekonom się nie boi, a ja też nie straszę; ale jak pana kiedy dostanę do garści, to zrobię obrachunek sprawiedliwy...

— Cicho, cicho, — mitygował Abram, — na co to gadać... Wynoście się stąd, Mateuszu; zamiast czekać w sądzie, poczekajcie na dworze...

Rzekłszy to, zaczął popychać chłopa ku drzwiom, lecz w tej chwili sędzia z ławnikami wszedł i wygłosił wyrok, uwalniający Mateusza Sikorę dla braku dowodów.

Barnaba za głowę się złapał, Koguciński uśmiechał się pod wąsem.

Mateusz skłonił się sędziemu aż do ziemi i wyszedł wraz z Abramem. Udali się ku karczmie.

— No, widzicie Mateuszu, — mówił Abram, — że nie było czego się bać... jesteście czysty jak szkło...

— Ten ekonom psia wiara...

— Macie rację, to paskudny człowiek... Możnaby jemu stołka przystawić, ale on przydatny jest innym żydkom...

— Ja się z nim sam rozprawię, abym go tylko gdzie na osobności spotkał...

— Nie radzę wam... Każdy powinien się swoim fachem trudnić... i wy nie polujcie na awanturę i na nową sprawę, tylko na zająca. Ja bardzo potrzebuję dwa zające... obiecałem...

— Na kiedy?

— Na niedzielę; rachowałem na was, Mateuszu, że mi wygodzicie...

— Dlaczego nie? Wygodzę; będą dwa zające... przyniosę w sobotę wieczorem, zaraz po waszym szabasie... ale słuchajcie-no, żeby tego dąbka ekonom w miasteczku nie wywąchał... bo mogłaby być bieda...

— Niech wącha... niech on wącha. Ten dąbek dawno porznięty na kawałki. Kto go tam znajdzie? a może myślicie, że Lejzor będzie się chwalił z tego, że drzewem handluje... Aj, Mateuszu, wy nie znacie naszych żydków, oni skromni są, nie lubią się pysznić.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## *W stodole*

*Łupu! cupu! cepami w stodole*
*Wali jak kto może,*
*Piękne plony dały role,*
*Leci z kłosów zboże.*

*Łupu! cupu! od świtu do nocy*
*Trzęsie się stodoła,*
*Młócą chłopcy z całej mocy*
*Huk słychać dokoła.*

*W. Kowalczyk.*

# Spowiedź w więzieniu.

W celi więziennej siedziało ich dwóch. Jeden usunął się na kolana i wpatrzył w gwiaździste niebo. Nauczył się tajemnej siły modlitwy: „Cierpliwości i wytrwałości". Tak teraz patrząc w górę, powtarzał: Ojcze! Bodaj zachowaj mnie w Twem świetle. Wstał, spojrzał raz jeszcze w srebrne blaski nocy, mówiąc: Żona moja, żona!

— Co ci jest kolego, możeś chory?

— Tak, chorym, chcę ci się wyspowiadać. Otóż słuchaj, zaczynam: Pewnego pięknego poranku przejeżdżałem koło wiejskiego kościoła i wstąpiłem na chwilę. Szedłem zawsze za głosem mojej matki, która w młodości mawiała mi: Nigdy nie przechodź koło świątyni, lecz zawsze wstąp, gdy jest otwarta. Dźwięki organów zdawały się płynąć gdzieś z oddali, a tak przenikały swą głębią, jak westchnienia kochających piersi. Wznosiły się akordy ku sklepieniu, zlewając się w melodję pieśni. Ukląkłem i zacząłem odmawiać modlitwę. Organy rozbrzmiewały całą mocą pieśni: O Ty Przedwieczne Światło, Światłości. A słodycz tonów płynęła po świątyni. Ludzi było mało, jak zwykle w powszedni dzień. Zobaczyłem młodą kobietę klęczącą na stopniu ołtarza, na którym wisiał umierający Zbawiciel świata. Wsłuchany i wpatrzony, zapomniałem poco przyszedłem. Serce we mnie przestało bić na chwilę. Nie mogłem sobie tego wytłumaczyć, jak się to stało. Odtąd myśl moja była nią zajęta. Pokochałem ją. Tyle w niej było czaru, taki wdzięk słodki i ujmujący wiał od niej, że zdawało się promieniować światło i wesołość. Patrząc na nią, odczuwałem w duszy słodycz.

Ożeniłem się, byłem bogaty, więc dano mi ją za żonę. Zgodziła się wyjść za mnie, bo nie byłem jej całkiem obojętny. Kochała mnie troszkę i malutką chwilę. I za tę chwilę, w której okazała mi pewne uczucia, byłem jej dotąd i do śmierci zostanę wdzięcznym. Mieszkaliśmy na wsi w pięknej okolicy, w miłym dworku, lecz Iwonie zaczęło się nudzić, postanowiłem zabrać ją i zamieszkać w mieście w własnej kamienicy. Iwona i tu była smutna. Wzrok jej stał się mniej pogodny, głos mniej dźwięczny. Ostrożnie, zlekka próbowałem ją badać. Odpowiadała mi wymijająco.

Pojechaliśmy daleko, podróżowaliśmy dużo... Niestety — obwoziłem po świecie jeno jej tęksnotę. Cierpiałem okropnie przez to, lecz kryłem to cierpienie przed nią.

Powróciliśmy do miasta. Życie nie troszczy się o nasze cierpienia, lecz płynie swym zwykłym trybem. Powinniśmy być szczęśliwi. Dlaczego działo się inaczej? Nagle Iwona rozjaśniła swoje lica, zajaśniała na niej światłość czarowna, stała się wesoła, taka, jaka była dawniej. Iwona wróciła do szczęścia, jakiegoś delikatnego, powiewnego. Czytałem na jej czole jej myśli, tak wyraźnie, jak wzrok śledzi cień chmur. Iwona codzień była weselsza, a na jej twarzy grały codzień nowe światła. Zrozumiałem, że zrodziła się w niej miłość. Wiedziałem, że była czysta dotąd, niepokalanej uczciwości. Zrozumiałem, co było powodem jej zmiany. Jedno moje słowo, a byłoby ją uszczęśliwiło. Nie jestem lepszy od innych,

ale nie zaznawszy sam nigdy szczęścia, mam poszanowanie dla szczęścia innych. Zepsuć jej i zniszczyć ten skarb kruchy, to byłoby zbrodnią. Wolę sam cierpieć, jak widzieć ją cierpiącą. Mógłbym zmienić tą radość na łzy, lecz cierpiałbym, spędzając uśmiech z jej ust wesołych, i odejmując duszy jej chwilę spokoju. A jest dużo ludzi, których szczęście innych trapi, którzy łamią je i gniotą z roszkoszą. Iwony dusza wznosiła się w powietrzne przestworza, płynęła ku światłu zuchwałym ruchem skrzydeł. Była szczęśliwą, szczęśliwa, nie wiedząc czemu. Gdybym przemówił słowo, zabiłbym to szczęście i miałbym wyrzuty, popełnionej zbrodni. Gdybym przemówił, zagasłby blask tych oczu i uśmiech tych ust. Badałem milcząco wszystkie fazy tej miłości, czytałem w jej oczach, na jej twarzy romans, którego nie wypuszczała, lecz śmiele przewracała kartki. Cierpiałem i milczał, przechodziłem katusze piekielne. Słyszałem śmiech wkoło, słyszałem naigrawanie z mego zaślepienia, lecz nie zdradziłem swojego cierpienia. A cierpiałem tak przez pięć lat, szanując jej szczęście, przeogromnie. A ona odsunęła się odemnie, odebrała mi siebie, widząc w nim całe szczęście swoje.

Naraz zmieniła się zupełnie. Znikł z jej lica uśmiech beztroski, zaćmiły się oczy, pobladły policzki. Co się stało? Ten nędznik już jej nie kochał, złamał to szczęście, które ja tak szanowałem.

I oto dlatego zabiłem go.

*Maryśka z Kamionki.*

# Rudy.

Wściekła zawierucha. Wicher jak opętaniec żenie przez pola, tarza się, tańczy w kółko, wyjąc z uciechy, wzbija w górę kłęby śniegu, to znów wali nim zażarcie o chałupy i sady. „Zaś sie dzisio żeni" — mruczą ludziska przy łuskaniu fasoli w ciepłych izbach. Niebo ciężkie, ołowiane opada mrokiem nad wsią wtuloną między dwoma kopcami.

W grząskim śniegu kopie się ku chałupom Rudy. Wiart-złośnik pierze weń śniegiem, robi przed nim zaspy, szarpie za stare płaszczysko. Rudy syczy przez zaciśnięte zęby: „Ni mógech hai zostać, nie chciało sie mi mieć — a teraz kop sie człowiecze" — wyrzuca sobie, że nie został w chałupie stojącej na granicy dwóch wsi.

Dobrnął do najbliższego obejścia Cholewy. Rozmyśla. Ogromnie nienawidzi Cholewy, a dalej jakże brodzić w śniegu, kiedy głodny i zmachany. Ilekroć Cholewa spotka Rudego nie omieszka „wypucować" mu żołądek. Och, zgryzłby go Rudy na miazgę, potem wypluł i zadeptał. Błysnęły czerwone oczy Rudego brudnym płomieniem.

— Nale, nale, kocur nom zdechnie — witała go czeladź. Kaś wandrowoł telowe czasy. Było nas teschno. Zagrosz nom na ręce do uciechy.

Pokazał żółte, mocne jak u konia zęby. Roztarłszy rude kłaki wąsów z sopli, usiadł na nalepie, chuchając w ręce. Ho, jak się rozgrzeje i podje sobie, zagra pod pachą, na dłoni. Tyle nauczył się w żywobyciu i to najbardziej lubi. Narazie usiłuje wywąchać, czy gazda czasem już nie śpi. Nie prosi o jadło ani o nocleg, dobrze wiedzą, że po insze w taki czas wieczorem nie przyszedł.

W sieni rozległ się głos gazdy: Musiał przyjść z karczmy, bo za głośno pokrzykiwał na pachołków do stajni. Rudy skulił się jakby się chciał w kłębek zwinąć. Po chwilce uczuł gniotący cieżar gazdowych oczu — niby dwie naciskające pięście.

— Ty mi możesz kaj służyć, co? Chłop jak buk, a smykać sie jeny. Bier sie, a ciąg mi darybоku z chałupy!

Gaździna próbowała uhamować gazdę, ale daremnie.

Łacha takiego, jeszcze co? — warknął. Pamiętasz, jak ci pieknie na wiosne zbiejroł skoli na łące. Zjadł kęs chleba i w kity.

— No pójdym, ale se spamiętom — wysyczał Rudy.

Dymiły myśli złowrogą nienawiścią. Na placu doleciał go grad śnieżek, szeroki śmiech gazdy i chichot pasterzy. W kotłującym wrzątku gniewu zrodził się nagle straszny, groźny zamiar. Skrzyknął rozbiegłe myśli całą siłą woli, aby nie wykonać odrazu pomsty.

Opodal schował się pod stary most, co leżał nad mruczącym pod lodem potokiem. Cicho tam było, przytulnie nawet. Musi poczekać ze zemstą, chytrość każe. Przedrabia nogami, trze ręce, chichocąc zcicha złym śmiechem. „Poczkej, poczkej, nie bejesz ty dali taki hyrny, poznosz, o poznosz Pana Boga w kożuchu". Słaby jakiś głos, słabszy niż płacz dziecka wśród takiej zamieci, kwili w rozszalałem sercu Rudego. „Niechtam, niechtam!" zdusił głos sumienia.

Po dobrej godzinie wylazł z pod mostu. Sadami, aby nie spotkać kogo, kuce się ku Cholewowej stodole. Wiater wali weń tumanami śniegu to z tej, to z owej strony, zapiera dech w gardle, jakby chciał unicestwić zamiar zemsty. Rudy parę razy poślizgnął i upadł na twarz w zamieć, jako że pod górę musiał się drapać. Naprało się śniegu w uszy, rękawy, za kark. Wyglądał jak nieforemna, ruchoma kula. Pot kapał z czoła, ręce i nogi żarł nielitosny mróz, piekł w nozdrza i oczy. „Jeszcze kąsek, jeszcze kąsek" dyszy Rudy, pomagając sobie gdzieniegdzie wdzierać rękoma. Wszystko mu jedno, zedrze do krwi ręce, ale na swojem postawić musi. Zagrzeje się potem, gdy zrobi „fajer".

Już jest przy stodole, już! Przez dziurę między deskami przytknie zapałkę. Bełknie ogień, i już... Wiatr, ciepiąc śniegiem o stodołę zrobił zaspę wzdłuż strzechy. Rudy wlazł w śnieg po pas. Długo zgrabiałemi rękami szukał zapałek — zapomniał, gdzie je włożył. Trząsł się jak osika, oczy zalewała krew. Znalazł je na piersiach, całe mokre. Śnieg za płaszczyskiem stopił się i zmoczył zapałki.

Jedną po drugiej wyjmuje kostniejącą dłonią. Nic! Mokre. Wypadają z twardych jak kołki palców. Słabość rozbiera Rudego, palące ciepło idzie od nóg. Nie dziwota, głodny strasznie.

Osuwa się na kolana senny, z zapałką w jednej, z paczką w drugiej ręce. Próbuje się podnieść, lecz nie może dźwignąć straszliwego ciężaru ciała. Ostatniem skupieniem woli uświadamia sobie, że śmierć przyszła wyrwać mu życie. Mimo strachu nie usiłuje już ustawać, bezwład objął wolę i ciało. Ostatni błysk myśli już nie mściwej, jeno błagalnej śle do uśpionego domostwa Cholewy.

Z przed oczu znika po chwili wszystko z doznań tego dnia, nic go już więcej nie obchodzi. Klęczy po kark w śniegu, z głową schyloną. Skrzypi stodoła żałośnie.

Wiatr tańczy po placu, buchając raz poraz na nią miałem ostrego śniegu. W górze wisi niebo czarne jak sadza.

*Musioł Paweł.*



# Poradnik gospodarczy.

W ogrodach i sadach powycinać należy połamane gałęzie drzew i gałęzie rosnące luźno. Zwłaszcza przy zbieraniu owoców dużo gałęzi pada ofiarą, gdy się nieumiejętnie zabrano do zbioru owoców, więc nanależy usunąć wszelkie ślady, podpory wszelkie odjąć i starannie przechować, gdyż się przydadzą w następnym roku. Zrobić na drzewach opaski z lepu, aby wychwytać wszelkie szkodniki, które szukają w korze drzewnej schronienia przed zimą. W tym czasie można robić odkłady z agrestu, porzeczek, które zrobione w tej porze doskonale się udadzą. Sadzić młode drzewka i krzewy, jak również przesadzać starsze. Nasiona zebrane odpowiednio zabezpieczyć na zimę nie tyle przed zimnem co przed myszami. Ziemię w ogrodzie starannie przekopać i nawieść nawozem odpowiednio wygnitym a jeszcze lepiej kompostem. Nie zaszkodzi rok rocznie pewną część ogrodu głęboko przekopać tak, aby co kilka lat przekopać cały, a przez to podnieść wydajność roli i przysporzyć sobie znaczniejszych zysków. Zgrabione liście w ogrodzie użyć do przysypania przed zimnem róż i kwiatów zimotrwałych. Do nakrywania używa się tylko liści suchych, a nigdy wilgotnych lub zupełnie mokrych. Liście służą do urabiania ziemi próchnicy, w tym celu przesypujemy liście ziemią. Ziemi z dobrze rozłożonych liści używamy dla roślinek wazonkowych — może ją zastąpić ziemia inspektowna. Warzywa prawie wszystkie już w tym czasie zebrane i przechowane starannie w piwnicach i kopcach. Liście z warzyw o ile nie zostały zaraz spasione przez bydło, zadołować, jako paszę zieloną na karmę zimową. Resztki zebrać i złożyć na kupę kompostową, po zgniciu starannie wymieszać i użyć do nawożenia ogrodu. Jeżeli jest w ogrodzie ziemia sucha, lekka, przygotować starannie i zasiać marchew, pietruszkę, szpinak, szczaw i t. p. warywa, które dobrze wytrzymują zimna i wczesną wiosną zaczynają się już rozwijać, należy tylko tak siewem pokierować, aby roślinki przed zimnem nie skiełkowały, gdyż przemarzną i cała praca pójdzie na marne. Ogród skopany zostawić przez zimę nie zgrabiony, aby ziemia przez zimę skruszała.

Truskawki przykryć nawozem lub liśćmi po znawożeniu ich dobrze krwią bydlęcą.

W szkółce drzewek, o ile ją kto prowadzi, poprzesadzać drzewka, posortować przeznaczone do wiosennego szczepienia. Przygotować zrazy i odpowiednio je przechować. Zabezpieczyć drzewka przed zającami, przez obwinięcie słomą, a jeszcze lepiej ciernistymi gałązkami, zaś drzewka delikatniejsze okryć choiną i ziemią i tak zabezpieczyć przed zimnem.

Grządki zasadzone przykryć choiną, aby uchronić przed myszami.

*Jan Matysik.*

# Poradnik lekarski.

Stosując się do życzeń wielu z naszych Czytelników, będziemy zamieszczali od czasu do czasu krótkie wskazówki rozpoznawania i leczenia najbardziej rozpowszechnionych chorób. Wskazówki te będziemy opierali na radach ks. Kneipa i innych doświadczonych ludzi. Celem naszym będzie dawanie dobrych rad, jak się należy zachować w czasie choroby, zanim lekarz przepisze należytą kurację.

**Zapalenie nerek.**

Z wszystkich chorób nerkowych najcięższą jest zapalenie nerek. Powstaje ono często przez zaziębienie, rzadziej z innych przyczyn. Objawy: krew napływa do miejsc chorych z większą siłą i tworzy tam zastojiny, wskutek czego nerki obrzmiewają. Chory uczuwa zimno, to znów gorąco i dreszcze oraz wielkie bóle koło nerek, mocz nie odchodzi w odpowiedniej ilości a powieki i nogi obrzmiewają. Leczenie: przedewszystkiem należy usunąć gorączkę i starać się o rozpuszczenie i wydalenie materji chorobotwórczej. W tym celu można zastosować omywanie całkowite, opaski krótkie, okłady górne i dolne, a wreszcie półkąpiołki. Dobre jest również użycie plastra ze świeżego sera. Plaster powinien być tak duży, aby obejmował całą szerokość pleców i od krzyżów sięgał aż do łopatek. Na wewnątrz należy użyć odwaru z rozmarynu.

**Szkarlatyna** (płonica).

Jedną z najniebezpieczniejszych zakaźnych chorób jest szkarlatyna. Dlatego należy chorego zupełnie oddzielić od zdrowych, a osoby pielęgujące, powinny dopiero po desinfekowaniu obcować ze zdrowymi. Objawy: znużenie na całem ciele, gwałtowna gorączka, brak apetytu, silny ból głowy. Później występują na ciele czerwone plamy w mniejszej lub większej ilości, przytem chory ma wielkie pragnienie. Plamy zwykle trwają pięć do ośmiu dni, poczem łuszczą się i znikają. Leczenie: należy chorego ubrać w koszulę zamaczaną w słonej wodzie, zawinąć w koc wełniany i dobrze nakryć, lecz nie ciężko. W mokrej koszuli leży chory przez trzy kwadranse lub godzinę, poczem zdejmuje się koszulę i układa się go napowrót do łóżka. Potem obmywa się chorego co dwie godziny zimną wodą, ale bardzo prędko i wkłada do łóżka. Jeżeli chory ma dreszcze, to macza się wtedy koszulę w gorącym odwarze ze siana, ubiera się go i zawija kocem. Na zewnątrz daje się choremu co godzinę łyżkę wody i herbatę ze szałwi i babki również łyżkę co godzinę.

**Koklusz.**

Koklusz jest chorobą zakaźną. Objawy: rozpoczyna się małem podrażnieniem do kaszlu i gorączką, nieraz zaś zamienia się w gwałtowne ataki, które oddech tamują. Przedewszystkiem należy uważać, aby chory był zupełnie oddzielony od zdrowych i miał bezwzględny spokój. Leczenie: najlepiej wyjąć dziecko codziennie z ciepłego łóżka, zanurzyć je w zimnej wodzie na jedną sekundę i następnie prędko włożyć je napowrót do ciepłego łóżka; można zrobić tak raz lub dwa razy dziennie. Lekarstwa nie usuną kokluszu, dlatego więc trzeba się starać, aby dawać pożywienie, któreby kaszel łagodziło. Najlepszą w tym wypadku jest herbata z kopru włoskiego i ze srebrnika, zagotowana w mleku i osłodzona miodem.

# KRONIKA.

**Podwyżka cen biletów kolejowych.** Z dniem 1 stycznia 1928 r. ceny biletów kolejowych zostaną podwyższone. Przy dotychczasowych cenach koszta własne ruchu osobowego na P. K. P. przewyższały znacznie dochody. Toteż nowa podwyżka ma na celu stworzenie takiej taryfy, któraby pokryła niedobory. Podwyżka wynosić będzie od 10 do 20 proc. dotychczasowej ceny, przyczem wysokość podwyżki zależeć będzie od odległości. Również nieznacznej podwyżce ulegną ceny biletów na kolejach podmiejskich.

**Wybory idą!** Że wybory do sejmu i senatu zbliżają się, świadczy o tem żywy ruch wśród dotychczasowych posłów. Każdy z nich chciałby zatrzymać w swym ręku mandat poselski, a z nim złączoną ładną pensję miesięczną. Ale Marszałek Piłsudski, ująwszy w swe silne ręce ster rządów państwowych, napędził im nieco „Pietra", boć nie wiadomo, pod jakim znakiem przyjdzie zwycięstwo. Dlatego też posłowie dotychczasowi, że tak powiemy, macają, w której stronie będzie najpewniejszy grunt. Następują więc ucieczki z jednych stronnictw, a przechodzenie do drugich, tworzą się bloki przedwyborcze, a wieś zaczyna się ruszać. Niedługo zaleją nasze wioski rozmaite mąciwody i zaczną zachwalać bądź stare stronnictwa, bądź nowopowstałe na czas wyborów. Zacznie się wieś ruszać i burzyć. Dotychczasowi przyjaciele staną się sobie wrogami, a wrogowie zawrą ze sobą przyjaźń byle tylko uzyskać mandat poselski, a jeżeli już nie to, to przynajmniej coś zarobić. Zacznie się tumanienie ludu naszego. I niejeden z Was, Kochani Czytelnicy, stanie bezradny — gdy nadejdzie dzień wyborów, nie będzie wiedział, co robić. Radby jak najlepiej, ale mimo najszczerszych chęci, nie będzie mógł się zdecydować, co mu uczynić należy. Boć każą mu głosować nie na człowieka rozumnego, uczciwego i zaufania godnego, ale na numerek i popatrzysz, kto pod tym numerkiem kandyduje? Zobaczysz kilka nazwisk. Może będzie pomiędzy nimi ktoś, kogo pragnąłbyś widzieć posłem, ale będą i tacy, na których nie możesz dać swego głosu. I cóż wtenczas? Albo pluniesz na wszystko i wstrzymasz się od głosowania, a więc nie spełnisz swego obowiązku obywatelskiego, albo, chcąc przeforsować jednego człowieka porządnego, oddasz głos na jego numerek. Z jednym jednak porządnym człowiekiem gotowo się przepchać do sejmu kilka zer politycznych, albo co jeszcze gorsze wcisnąć się tam może jaki oczajdusza, których przecie nie brak. Zagotuje się więc wkrótce na wsi, agitatorzy pociągną za sobą lud nasz, rozognią się umysły, przyjść może do waśni i zawiści, a to przecież nie może wyjść na dobre ani Ojczyźnie naszej, ani społeczeństwu. Będzie walka, ale niechże ta walka nie różni sąsiadów pomiędzy sobą; można się przekonywać, nakłaniać na tę lub ową stronę, ale niechże ta walka będzie przyjacielska, spokojna, niech nie wprowadza pomiędzy braci jednej Ojczyzny jakich osobistych zawiści. Boć wybory przyjdą i miną, a my ze sobą żyć musimy dalej i dalej pracować. Jeżeli nam nawet walczyć przyjdzie w tym okresie, to walczmyż uczciwie, szlachetnie, przekonywujmy przeciwnika politycznego argumentami, ale nigdy kalumnją i oszczerstwem. Jeżeli my wobec naszych przeciwników będziemy występowali z całą szlachetnością, to i oni nas uszanować muszą.

**Obława na bandytów.** W pierwszej połowie ubiegłego miesiąca skutkiem licznych kradzieży i włamań na Podhalu, urządził posterunek policji państw. w Czarnym Dunajcu w tamtejszych lasach obławę, w czasie której funkcjonarjusze policji napotkali trzech osobników, którzy na widok policji zaczęli się gęsto ostrzeliwać z karabinów i rewolwerów. W czasie wzajemnej strzelaniny zginął od kuli posterunkowego niejaki Franciszek Bratułowski, zaś dwaj inni zbiegli. W związku z tem urządzono w ostatnich dniach obławę, w której udział wzięły posterunki policji Chochołowa, Czarnego Dunajca, Szaflar, w okolicach Starego Bystrego w lasach i zabudowaniach. Po przeszukaniu zabudowań, część funkjonarjuszy dla zmylenia śladów odmaszerowała w kierunku posterunku Czarnego Dunajca, reszta zaś ukryła się w lasach, z których nad wieczorem wyszło dwóch poszukiwanych członków bandy. Są nimi: Jan Ligas Pietrusiak oraz towarzysz jego Morawa Bernaś, który to ostatni, podczas poprzedniej obławy dał szereg strzałów do policji. Bandyci, widząc, że są osaczeni przez policję, poddali się. Przy obydwóch zaleziono broń. Po aresztowaniu i skuciu przywieziono obu do więzienia w Czarnym Dunajcu. Mają oni na sumieniu szereg włamań i kradzieży oraz posądzeni są o zabójstwo Józefa Wróbla, mieszkańca Starego Bystrego.

**Zasypani ziemią.** Z Sosnowca donoszą: Podczas robót ziemnych przy wytyczaniu drogi we wsi Sieciechów, pow. olkuskiego, osunęła się ziemia, zasypując trzech robotników: Wincentego Zembalę, Jana Miśkę i Czesława Chołodę.



Dwaj pierwsi ponieśli śmierć wskutek uduszenia, Chołoda zaś uległ złamaniu nogi. Wypadek ten wywołał w całej okolicy przygnębiające wrażenie.

**Na drzewie przed niedźwiedziem.** Pewien turysta z Poznania, wracając z wycieczki z Morskiego Oka w Tatrach, miał niemiłą przygodę z niedźwiedziem, która zakończyła się dość szczęśliwie. Oto znalazłszy się obok Łysej Polany, spostrzegł w lesie obok gościńca pokaźnych rozmiarów niedźwiedzia, przed którym zdążył się jeszcze schronić na drzewo. Na drzewie przesiedzieć musiał kilka godzin, gdyż niedźwiedź ułożył się spokojnie pod drzewem. Dopiero przejeżdżające auto spłoszyło napastliwego niedźwiedzia i pozwoliło turyście z niezbyt wygodnej kryjówki wydostać się na drogę.

**Krwawe wesele.** W czasie libacji po weselu we wsi Grabowej (pow. Brzozów), powstała kłótnia pomiędzy Józefem Bądalem a Stanisławem Wójtowiczem. Bądalowi przybył z pomocą brat jego, szeregowiec 5 p. p., a Wójtowicz, rzucony przez obu braci Bądalów na ziemię, zawezwał pomocy swego szwagra, Jakóba Bielca. Bielec pospieszył szwagrowi z pomocą i ugodził trzykrotnie gałką żelazną laski Józefa Bądala tak silnie po głowie, iż Bądal w niedługim czasie życie zakończył. Wójtowicza, znanego na wsi złodzieja i Jakóba Bielca aresztowano. I znowu jeszcze jeden dowód szkodliwości nadużywania alkoholu.

**Odnalezienie uprowadzonej cyganki.** W swoim czasie donieśliśmy, że koło Monasterzysk przez dłuższy czas przebywała jedna banda cyganów, których wójtem

jest okazały cygan Mikołaj Michaj. Pewnej nocy trzej cyganie z innej bandy wtargnęli do jego namiotu, rewolwerami zmusili go do milczenia, poczem żonie, Paulinie, zadali jakiś proszek, a zrabowawszy Michajowi większą gotówkę, uprowadzili mu żonę w nieznanym kierunku. Michaj o tej sprawie uczynił doniesienie w lwowskiej policji, a sam z bandą swoją udał się na leże zimowe do Warszawy, gdzie zamieszkał na Marymoncie. Policja poszukiwała uprowadzonej cyganki i wreszcie po dłuższym czasie wpadła na ślad jej przebywania w obozie cyganów, znajdującym się na polach Zboisk pod Lwowem. Policja przeprowadziła rewizję całego obozu i na jednym z wozów znalazła ukrytą Michajową, pilnowaną przez dwie cyganki. Michajowa pojawieniem się policji bardzo się ucieszyła i zeznała, że uprowadził ją wójt odnośnej bandy, Teodor Saba, wraz z swoimi synami, Jurkiem, Stefanem i Józefem. Wobec tego ci wszyscy czterej cyganie zostali aresztowani.

**Morderstwo przy kartach.** Z Sosnowca donoszą: Jednego z ubiegłych wieczorów w restauracji Muchy w Sosnowcu znajdowało się dość liczne towarzystwo, w którego skład wchodzili mieszkańcy Sosnowca: Stanisław Klauze, Zygmunt Siemiński, bracia Jan i Antoni Swobodowie, Bolesław Grudziński oraz Roman Rygał z Grabocina. Towarzystwo to zajęte było grą w karty. Podczas gry wynikło nieporozumienie, które początkowo przybrało charakter gwałtownej sprzeczki. Gracze podzielili się na dwa obozy. Po wyczerpaniu bogatego zapasu obelg, poczęto się wzajemnie obrzucać różnemi przedmiotami, Siemiński zaś dobył rewolweru, chcąc oddać strzał w stronę Jana Swobody.



Gdy jednak rewolwer zawiódł, momentalnie wyciągnął nóż z kieszeni i zadał nim dwa ciosy Janowi Swobodzie. Jeden z ciosów, wymierzony w serce, był śmiertelny i Swoboda runął martwy na podłogę, broczac obficie krwią. Karciarze za przykładem Siemińskiego wyciągnęli również noże. Posypały się zewsząd razy... Wkrótce padł na ziemię ciężko ranny w brzuch Bolesław Grudziński, po chwili zaś rozległy się jęki rannego Siemińskiego. Na miejsce krwawej rzezi przybyła policja, która położyła kres awanturze. Wezwano pomocy lekarskiej Zwłoki Swobody przewieziono do kostnicy, ciężko rannego Grudzińskiego przewieziono na kurację do szpitala miejskiego. Lżej rannego Siemińskiego opatrzono w ambulatorjum Kasy chorych, poczem wraz z Rygałem, Klauzem i Antonim Swobodą przyprowadzono do komisarjatu, stąd zaś przekazano ich do dyspozycji sędziego śledczego. Karty, wódka i kobiety są powodem niejednej zbrodni.

**Cała wieś pastwą pożaru.** Donoszą z Drohobycza: Ubiegłej nocy wielki pożar zniszczył całkowicie wieś Ulyczna.

**Wojna pod Krasnem.** W czasie wyborów do Rady gminnej we wsi Adamy pod Krasnem powstała między dwoma partjami politycznemi wielka bójka. Na widok przybyłej policji obie walczące strony zaprzestały bójek, rzuciły się jednak na posterunkowych i rozbroiły ich. Wobec groźnej sytuacji, zaalarmowano policję z Buska i okolicznych posterunków. Z trudem zdołano opanować sytuację. W obawie przed aresztowaniem rozbiegli się uczestnicy bójek, przeważnie uzbrojeni w rewolwery, po okolicznych lasach, tak, że policja musi z trudem wyłapywać ich pojedynczo. Wieś Adamy przedstawia niezwykły widok. Plebanja ograbiona i bez szyb brak okien również we wszystkich chatach, płoty i parkany porozbierane. W związku z likwidacją zajść przybył do Adamów starosta z Kamionki Strumiłowej. Do czego to prowadzi zacietrzewienie partyjne. Czyż nie lepiej zwalczać przeciwnika uczciwą pracą dla dobra społeczeństwa, aniżeli pałką?

**Niezwykły powód samobójstwa.** W Zamkowej Górze pod Skarszewami wydarzył się niezwykły wypadek samobójstwa. U gospodarza Welkego odbywało się wesele, na które przyjechało dużo gości. Gospodarz kazał konie gości wprowadzić do stajni, a własne umieścić w podwórzu. Stajenny Domroca oświadczył, że koni gospodarza ze stajni nie wyprowadzi, w przeciwnym razie odbierze sobie życie. Gospodarz sądząc, że żartuje tylko, kazał konie wyprowadzić. Rano znaleziono stajennego z poderżniętem gardłem.

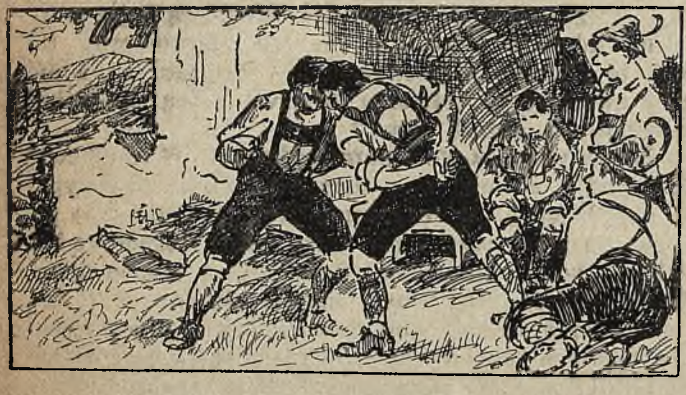
**Śmierć dwóch kobiet w płomieniach.** W Wielkiej Jani (w Wielkopolsce) spłonęły zabudowania gospodarskie z mieszkalnym domem Franciszki Rożenowej, przyczem spłonęły dwie zamieszkałe tam kobiety. Właścicielkę domu, Rożenową, podejrzaną o podpalenie, aresztowano i odstawiono do sądu powiatowego w Nowem.

**Biuro sprzedaży żon.** W Petersburgu na Zagorodnym Prospekcie istniało do niedawna „Biuro sprzedaży żon". Szczegóły organizacji tego przedsiębiorstwa wyszły na jaw przy sposobności procesu, wytoczonego obecnie nabywcom tego niezwykłego towaru. „Krasnaja Gazieta" opublikowała niedawno wyjątki z cennika nazreczonych. Ceny bywały bardzo różne. Wspomniana gazeta przytacza naprzykład następujące: Teresa Tamzazowa — 200 rubli, Lubow Marksowa — 500 rubli, Katarzyna Donchojewa — 500 rubli, Anna Juchanowa 4.000 rubli i t. d. Nabywcy żon nie przyznają się do winy i twierdzą, że dawali pewne kwoty dziewczętom, pragnącym wyjść za mąż, aby mogły kupić sobie wyprawę. Śledztwo dowiodło jednak, że istniał zupełnie regularny handel dziewczętami. Niejaki Łaskojew był nawet tak przebiegły, że sprzedał własną siostrę dwa razy. Uciekła ona za pierwszym razem od męża, który ją nabył, a następnie została drugi raz innemu sprzedana. Nie ulega wątpliwości, że niejeden taką kupioną żonę oddałby po paru tygodniach z powrotem za darmo.

**Wytrwały ziemianin.** Pisma rosyjskie donoszą, że w sądzie sowieckim w Kijowie odbył się w tych dniach sensacyjny proces obywatela ziemskiego Wołka, właściciela majątku Demidowo leżącego pod Kijowem. Równocześnie stanęli przed sądem włościanie wsi sąsiedniej. I Wołk i włościanie byli oskarżeni o stawienie oporu władzy sowieckiej. Wołk, wbrew wszelkim reformom bolszewickim na Ukrainie, zdołał się utrzymać na części swego majątku to jest na kilkudziesięciu dziesięcinach aż do roku 1927. Władze sowieckie zdecydowały się wysiedlić go wreszcie siłą. Gdy jednak w majątku zjawili się funkcjonarjusze sowieccy, którzy mieli wysiedlenia dokonać, Wołk stawił zdecydowany opór, na pomoc zaś przyszli mu włościanie ze wsi przyległej. Rozpoczęła się bójka, która dla urzędników sowieckich skończyła się fatalnie. Do Demidowa przybyła specjalna

ekspedycja karna, która wreszcie Wołka wysiedliła i osadziła w więzieniu. Obecnie sąd sowiecki skazał Wołka na 5 lat więzienia, a następnie wydalenie z granic Ukrainy sowieckiej. Nadto zostali skazani na rok więzienia włościanie Kisiel i Minienko.

**Bójka głowami.** Pijakom przychodzą do głowy różne niemądre rzeczy. Tak też i w Tyrolu, w pewnej wsi, pokłócili się w karczmie dwaj chłopi niemieccy. Postanowili bić się, ale nie bylejaki wymyślili po pijanemu pojedynek.



Zaczęli rozpędzać się i uderzać głową w głowę, jak nie przymierzając kozły albo buhaje. Urządzili to pięć razy z rzędu, aż nareszcie młodszy, który miał widocznie miększą głowę, oznajmił, że ma dość, że jest pokonany. Ale pokonani byli obaj, bo żaden o własnych siłach nie mógł powrócić do domu. Może dlatego, że byli podpici i źle się trzymali na nogach, ale bardziej dlatego, że mieli poobijane głowy, jak ulęgałki.

**Bohaterski czyn zakonnicy.** Z Londynu donoszą: 68 sierót zostało wyratowanych z płomieni, dzięki bohaterstwu siostry Marji Gabrjeli, rzymsko-katolickiej zakonnicy w zakładzie sierót w Bernardsville, w stanie New Yersey. Obudziwszy się pośród nocy, spostrzegła pożar w swym zakładzie. Jakkolwiek jest szczupłą i dość słabą fizycznie, zaczęła wynosić z sypialni jedno dziecko po drugiem, chociaż płomienie nieraz ją obejmowały. Z dzieci zginęło tylko troje, a 68 wyratowała dzielna zakonnica, zanim przybyła straż pożarna.

**Bandycka szajka dzieci.** Z Paryża donoszą: W miejscowości Satrouville policja wpadła na ślad szajki złożonej z 20 młodocianych bandytów i bandytek. Dzieci te prawdopodobnie pod wpływem lektury romansów zeszytowych, oraz uczęszczania na kryminalne filmy kinowe, utworzyły klub bandycki, który na skutek licznych włamań, kradzieży i napadów rabunkowych stał się postrachem całego miasta. Członkami tej szajki są chłopcy i dziewczęta w wieku od lat 14 do 16, a przywódcą ich jest niejaki „Jojo", któremu są ślepo posłuszni. Członkowie tego klubu bandyckiego zbierali się codziennie w otworze wyschłej studni, do której spuszczali się na sznurze. Tutaj dzielono każdorazowy łup, który był nieraz bardzo obfity, ponieważ banda operowała przeważnie w bogatych willach. Inną specjalnością młodocianych bandytów były napady na spóźnionych nocnych przechodniów. Pod grozą rewolwerów wymuszano na napadniętych oddanie pieniędzy i przedmiotów wartościowych. „Panie", należące do tego klubu, za swoją współpracę otrzymywały torebki ręczne jedwabne pończochy, jak również eleganckie suknie i futrzane okrycia. Dotychczas zdołano zaaresztować czterech członków tej młodocianej bandy. Prawdopodobnie jednak w najbliższym czasie policja dostanie wszystkich w swoje ręce i położy kres tej bandyckiej romantyczności, albowiem aresztowani wspólnicy a pośród nich „Serce hjeny", „Żelazna ręka" i „Amazonka" już przy pierwszem przesłuchaniu wyśpiewali wszystko i zdradzili swoich towarzyszy.

**Oryginalny proces rozwodowy.** Pani Mary Farman, obywatelka miasta Toolse w stanie Oklahama, postanowiła wnieść do sądu skargę rozwodową i poleciła prowadzenie procesu najlepszemu adwokatowi tamtejszemu, to jest — swojemu własnemu mężowi. Obecnie, ciąży na nim, jako na doradcy prawnym pani Mary Farman, obowiązek przekonania sędziów, iż jego mocodawczyni była nieszczęśliwa w pożyciu domowem, ponieważ mąż jej posiadał nieznośny charakter.

**Bandyci na balu maskowym.** Niezwykły napad rabunkowy miał miejsce na pewnym balu maskowym w Chicago. Około północy, gdy zabawa wrzała w całej pełni, weszło na salę dwunastu elegancko ubranych bandytów pod przewodnictwem młodej kobiety w masce „kopciuszka". W pewnej chwili, podczas tańca, bandytka zerwała maskę z twarzy, dając partnerowi swemu głośnego całusa. Był to umówiony znak do napadu. Bandyci wyjęli ukrytą broń i nakazali bawiącym ustawić się pod ścianami. Pod grozą rewolwerów odebrano panom portfele i zegarki a paniom biżuterję. Policjanta, który zjawil się na sali, zastrzelono na miejscu. Bandyci zdołali umknąć w dwóch samochodach, zabierając z sobą około piętnastu tysięcy dolarów w gotówce i niezmiernej wartości klejnoty.

**Zbrodniczy zamach.** W miejscowości amerykańskiej Hammon w stanie Indjana pod gmach teatru podłożono trzy bomby, które eksplodując zniszczyły doszczętnie cały gmach. Również sąsiadujący z gmachem teatru kościół został poważnie uszkodzony. Ze względu że eksplozja nastąpiła w nocy, nikt nie poniósł szwanku. Szkody materjalne wynoszą pół miljona dolarów. Kto podłożył bomby — dotychczas niewiadomo.

**Pijane świnie.** Jak wiadomo, w Stanach Zjednoczonych Ameryki wyrób i sprzedaż wódki są surowo zabronione. Mimo to ludzie piją nie mniej, niż u nas, a wódkę wyrabiają i sprzedają potajemnie. Jednym z takich tajnych gorzelników był w Grand Rapids obywatel amerykański, Polak, Antoni Marczewski. Oficjalnym jego fachem był handel nierogacizną, na którym zbijał fortunę. Chcąc ją zaokrąglić do pewnej wymarzonej sumki, p. Marczewski wpadł na pomysł urządzenia w swym domu gorzelni. Jak pomyślał, tak zrobił. Gorzelnia jego z czasem nabrała rozgłosu wśród zwolenników dobrego alkoholu, którzy umieli trzymać język za zębami tak, że władze nie wiedziały nic o świetnie prosperującym interesie p. Marczewskiego. Lecz zbytnia chciwość go zgubiła. P. Marczewski zaczął karmić swe świnie odpadkami pozostałymi z fabrykacji spirytusu. Rezultat był taki, że świnie upijały się do nieprzytomności, co zauważyli sąsiedzi zazdrośni o rosnącą fortunę p. Marczewskiego i zrobili „donos". P. Marczewski, dążąc do majątku zapomniał o jednem, że „lepiej ze świniami nie zaczynać"...

**Nowy rodzaj sportu amerykańskich miljonerów.** W San Diego w Kalifornji aresztowano podejrzanego osobnika, wysypiającego się po ławkach w parkach. Następnego dnia okazało się, że obieżyświatem był arcybogaty miljoner amerykański, właściciel 60 fabryk, 30 domów i 30 miljonów dolarów, mr. Edward Brown, któremu amatorskie występy w roli wagabundy sprawiały tak wielką przyjemność. Sędzia osądził jednak że nie można oddzielić amatorstwa-wagabundowego od profesji żebraczej i skazał chciwego sensacji multymiljardera na 10 dni aresztu.

# RZECZY CIEKAWE.

## Zwidzenia kalek.

Wiadomo, iż ludzie, których spotkało wielkie nieszczęście utracenia ręki lub nogi, długi czas, a niekiedy i na przestrzeni całego życia zachowują wrażenie, jakgdyby w dalszym ciągu posiadali nieistniejącą już część ciała, czują w niej bóle, nieraz bardzo dotkliwie. Zwłaszcza po wojnie, ilość tych zwidzeń wzmogła się ogromnie. Co jest przyczyną tych zdumiewających złudzeń bólu fizycznego w nieistniejących już członkach ciała? Najprawdopodobniejsze wytłomaczenie zdaje się polegać na tem, iż w części ciała, najbliżej położonej amputowanej kończyny, pozostaje kłębek nerwowy, splot, od którego szły nerwy ku usuniętej części ciała. Od tego kłębu nerwów, niezmiernie subtelnego i skomplikowanego, każdy nerw biegł ku miejscu swego przeznaczenia i przy najmniejszem podrażnieniu splotów nerwowych wrażenie, drogą „pamięci nerwów" przekazuje się do owych już nieistniejących punktów. Sprawa „pamięci nerwów" jest jedną z najbardziej tajemniczych funkcyj, stwierdzanych wielokrotnie, naszego systemu nerwowego. Z pamięcią tą łączą się więc bezpośrednio złudzenia nerwowe w amputowanych kończynach.

## Zwyczaje ptaków.

Ciekawe rzeczy opowiada pewien uczony angielski o zwyczajach ptaków:

Każde większe zbiorowisko ptaków wybiera swego wodza-przewodnika, którego darzy następnie najzupełniejszem zaufaniem, uważając go poniekąd za — nieomylnego. Odpowiedzialny ten urząd — powiada ów uczony — zdaniem mojem powierzony zostaje zawsze starszym ptakom, gdyż młode, w pierwszym roku życia, nie mogą żadną miarą posiadać tej inteligencji, jaką zauważyłem u niektórych ptasich przodowników. Dowódca stada nie powinien być samolubnym i znać musi wszelkie potrzeby i wymogi ptasiego życia. Czas dłuższy obserwowałem na szkockich wybrzeżach duże gromady dzikich gęsi. Ptaki te — za wyjątkiem dwóch, trzech, spokojnie żerowały, gładziły swe piórka, albo też drzemały — najwidoczniej ufając bez zastrzeżeń w czujność swoich opiekunów. Wtem rozlega się jakiś krzyk — przypuszczalnie ostrzegawczy i nagle całe stado wzbija się wysoko w przestworza. Ptaki zataczają kilkakrotnie koła i za chwilę odznaczają się na horyzoncie, niby smuga dymu, dążąc szlakiem wskazanym przez dowódcę — ku nowym żerowiskom.

Jako dowód czujności i ostrożności ptasich przewódców, niechaj posłuży następujący zauważony przezemnie fakt: Duże liczebnie stada ptaków, powracały dzień w dzień, w ciągu całych miesięcy z dalekich wędrówek, zawsze do jednego i tego samego miejsca, znajdującego się u ujścia rzeki Clyde. Powracały bezpiecznie, nie straciwszy w przeciągu całego tego czasu ani jednego towarzysza, aczkolwiek kilku dobrych strzelców niejednokrotnie usiłowało uśpić czujność skrzydlatych wartowników i zdradziecko podejść gromadkę. Na nic nie przydały się fortele myśliwskie — zwierzęta okazały się mądrzejsze od ludzi!

I jeszcze jeden przykład: Przed paru miesiącami, znajdowałem się w towarzystwie starego, doświadczonego ptasznika, który ogromne swe sieci umiejętnie rozpiął na głównym szlaku lotów ptactwa wodnego. Z naszego ukrycia ujrzeliśmy w pewnej chwili duże stado szaropiórych rybitw, lecących na oślep wprost na niewidzialne prawie sidła. Ptasznik zacierał z radości ręce! Obfity połów cennych ptaków zdawał się być pewny. Wtem rozległ się przenikliwy gwizd: ptak-dowódca dostrzegł w ostatniej chwili niebezpieczeństwo i dał sygnał. W mgnieniu oka stado rzuciło się w bok, wzlatując następnie w górę i omijając zdradliwe sieci, poszybowało za swoim zbawcą.

Mieszkańcom wiejskim znane są dobrze „wronie sejmiki". Nie zdołano wszakże dotąd dociec, dla jakiej przyczyny czarne to ptactwo, wzbiwszy się do znacznej wysokości, zatacza długotrwałe kręgi w powietrzu, prowadząc równocześnie pomiędzy sobą charakterystyczny „wroni rozgwar". Zdaniem niektórych obserwatorów ptasiego życia, sejmiki te miewają miejsce każdorazowo, kiedy posępne te zwierzęta wybierają się w poszukiwanie nowych miejsc żerowania. Zjawia się wówczas kilku „przewodników", a ptaki, zdaje się, nie są zrazu zgodne, na którego się zdecydować. W rezultacie wynikają kłótnie i krzyki, jak to na sejmikach bywa!...

Życie ptaków — kończy ów uczony — ujawnia wiele cech „ludzkich". W jednym wszakże przewyższają skrzydlate rzesze „panów świata", mianowicie w bezprzykładnem poświęceniu się dla potomstwa i dążeniu do zapewnienia mu możliwie beztroskich chwil dzieciństwa.

## Czy zwierzęta rozumieją mowę ludzką.

Królewski zwierzyniec w Londynie poniósł kilka dni temu dotkliwą stratę, bo z liczby znajdujących się tam okazów, jeden ubył z najciekawszych orangutan Murphy. Powodem było zwykłe u małp w niewoli zapalenie płuc. Gazety angielskie poświęcają Murphyemu wiele miejsca podkreślając, że była to małpa niezwykle sympatyczna, o bardzo miłym charakterze: zalety te sprawiły, że Murphy był uważany za wzorowego gentlemana w małpim świecie. Jakim Murphy był, świadczy najlepiej opinja jednego z dozorców zwierzyńca.

— Niejednokrotnie — mówił ów dozorca — przyglądałem się jak to Murphy dzielił otrzymane od publiczności smakołyki z innemi małpami. Gdy wypadło mi czasem — a zdarzało się to niezwykle rzadko — ostro przemówić do Murphyego, miał wtedy zawsze strapioną minę, dając jednocześnie do poznania swe niezadowolenie. Jeśli jednak mówiło się do niego grzecznie, Murphy był bardzo uprzejmy i chętnie spełniał każde polecenie.

— Chodź tu. Murphy przynieś swój stołek. — Ledwo zdołałem to powiedzieć, a Murphy ze stołkiem był przy mnie. Gdy przynosiłem mu mleko, zawsze całował mię zamiast podziękowania. Jeśli po otrzymaniu jednego całusa zapytałem: — czy sądzisz, że dosyć raz pocałować. Murphy dawał mi drugiego całusa.

Obecnie, gdy Murphy już nie żyje, w zwierzyńcu jakby zamarło. Niema tam żadnego ruchu, a dawnego gwaru i wesołości pośród zwierząt ani śladu.

## Roślina - tułacz.

Roślnia ta nosi nazwę „latirusu". Posuwając się poziomo pod ziemią, przenosi się z miejsca na miejsce. Rozrasta się w kształcie różańca, którego kulki ciągną się w odstępach wzdłuż korzenia. Gdy korzeń ten przerwać w połowie, przednia jego część rozrasta się w dalszym ciągu. Jest to roślina koczownicza, wędrująca, nie znająca ni granic ni ojczyzny.

## Odpowiedzi Redakcji.

Pp.:**Juljusz Prus** w B.: Nie możemy krępować twórczości Pana co do ilości utworów. Wolelibyśmy jednak, aby rzecz się nie przeciągała zbyt długo. Natomiast coś na inny temat byłoby dla nas praktyczniejsze. Dotychczas nadeszło ośm i tłumaczona nowelka. Dziękujemy i serdecznie pozdrawiamy. „Wskrzeszenie Łazarza" pójdzie po ukończeniu „Pinkta". — **Ew. M.** w N.: Wierszyk tym razem dobry i w miarę miejsca chętnie go zamieścimy. — **„Yoga"** w K.: Za zagadki dziękujemy — pójdą. —**Karolina Dreżdżówna** w S.: Pyta się Pani, jak to można mieć między 20 a 80 latami życia? Zdaje się to niemożliwe, a przecież tak jest. Ciało może mieć dużo, bardzo dużo lat, a dusza przecież nie ma ich prawie nic. Bo przecież dusza jest nieśmiertelna, więc ten okres czasu, jaki człowiek żyje na świecie, jest prawie niczem wobec wieczności. Więc jak się doda żywot ciała do żywota duszy i to potem podzieli przez dwa, to się okaże, że nawet najstarszy człowiek jest jeszcze młodzikiem, ba nawet niemowlęciem, jeżeli się weźmie pod uwagę istnienie duszy. Dlatego też nic strasznego, jeżeli się ciało starzeje, byle tylko dusza była wiecznie młodą. — **Jan Wawro** w Z.: Niech sobie Pan da spokój, lepiej nie zaczynać, może Pan na tem bardzo źle wyjść. Niech się Pan trzyma tej zasady, że mądrzejszy głupszemu ustępuje. Cześć! — **„Jerychonka"** w K.: Z utworu przebija ogromna miłość do ukochanej a utraconej chatki. Styl poprawny, ale rzecz zbyt osobista, aby ją drukować w „Roli". Gdyby tasama rzecz była ujęta w jakąś nowelkę, zyskałaby dużo na wartości. — **Antoni Szymański** z H.: „Rolę" wysyłamy w każdy czwartek w południe tak, aby na niedzielę każdy Czytelnik otrzymał. Niech się Pan domaga w gminie. Jeżeli dalej Pan będzie otrzymywał spóźnioną, niech nam Pan doniesie. — **Kazimierz Wyszatycki** w St S.: Kalendarz wysłano dla Pana 3 listopada, więc powinien Pan dawno otrzymać. Niech Pan zapyta się na poczcie, czy tam nie cenzurują. — **Kazimierz Leśniowski** w L.: Sprawa wyjaśniona. Nie ten złoty był powodem. Numera posłaliśmy. Z artykułu może Maciek skorzysta przy sposobności, chociaż nie bardzo lubi gadać o szkole i małych pędrakach. Humorek w numerze. Cześć! — **Alojzy Kapłon** w P.: Kalendarz równocześnie z numerem niniejszym (47) wysyłamy. Niech Pan domaga się od listonosza doręczenia „Roli" przed niedzielą. My wysyłamy „Rolę" w czwartki, więc aż nadto jest czasu, aby przed niedzielą doszła na miejsce.

**Zgubiono** książeczkę wojskową na nazwisko Jan Zawada urodzony w roku 1898 w Dąbrowicy, powiat Dąbrowa.

**Zgubiono** książeczkę wojskową na nazwisko Andrzej Gurdak z Dęby pow. Tarnobrzeg poczta Tarnowska Wola. O ile kto znajdzie niech prześle bez opłaty pocztowej.

# Zagadki do nagrody.

### 1. Arytmogryf.

(Ułożył F. Gruca).

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| **1** | 8 | 7 | 2 | 5 | Kwiat. |
| 4 | **13** | 9 | 12 | 15 | Kawał drzewa. |
| 4 | 8 | **9** | 17 | 19 | Moneta. |
| 12 | 17 | 21 | **8** | 12 | Inaczej śmieszny. |
| 4 | 2 | 10 | 8 | **12** | Obuwie. |
| 4 | 15 | 11 | 13 | **5** | Słówko niemieckie. |
| 14 | 15 | 9 | **12** | 15 | Nazwa opery. |
| 20 | 11 | **17** | 16 | 8 | Inaczej kosztowny. |
| 17 | **18** | 15 | 20 | 3 | Robaki. |
| **15** | 9 | 4 | 8 | 19 | Imię męskie. |
| **9** | 15 | 21 | 22 | 15 | Źródło światła. |
| 17 | **10** | 13 | 15 | 19 | Morze. |
| 14 | 2 | **6** | 15 | 11 | Żołnierz. |
| 8 | 19 | 20 | **3** | 12 | Ptak. |
| 12 | 2 | 9 | 8 | **12** | Zabawa. |

Litery umieszczone zamiast liczb grubo wydrukowanych, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko wydawcy bardzo poczytnego pisma.

### 2. Szarady.

(Ułożył Wł. Bulek).

I.

Nie pierwsze swej duszy,
Bo czeka pod uszy
Poza grobem drugi
Czas ogromnie długi.
Radzę przeto trzecie,
Idź gdzie całość w lecie.
Zyskasz spokój duszy
Nie zaznasz katuszy.

II.

Wieczorna godzina
Całość się zaczyna,
A że to jest w lecie
Wielu drugie trzecie
Pod niebem, pod gołem
W ogrodzie za stołem.
Tu raczą ciastami,
Drogiemi winami.
Więc każdy wie przecie,
Nie pierwsze tu trzecie.

III.

W skwarny dzionek, wśród rozgwaru,
Sunie całość, mimo skwaru.
Flasze, co na plecach mają,
Drugą jakąś zawierają.
Siedząc, wzięli zamiast wody,
Trzeciej pierwszej dla ochłody.

IV.

Gdzieś widać w całości,
Ach, Boże, litości!
Czyjeś drugie trzecie,
Pierwsze trzecie. Wiecie?

### 3. Układanki.

(Ułożył Wł. Reichel).

1) Patyk + zaimek wskazujący — całość miasto w Europie wsch.
2) Miara powierzchni + 3 os. l. p. czasownika + zaim. wsk. — całość broń.
3) Spółgłoska + miara powierzchni — całość tytuł władcy.
4) 3. p. l. p. zaimka + przyrząd sportowy — całość król pol.
5) Monarcha + samogłoska + obrady — całość miasto nadbałtyckie.
6) Spółgł. + miara powierzchni + narzekanie — całość istytucja państwowa.
7) Ukłon + artykuł żywnościowy — całość miasto w Europie.
8) Roślina strączkowa + spółgł. — całość zwierzę.
9) Wspak służy do pieczętowania + spółgł. + miara powierzchni + zaimek osobisty — całość miasto w M-polsce.
10) Pozdrowienie łac. + spółgł. + zaim. — imię m.

### 4. Bilety wizytowe.

(Ułożył Rudolf Sz. z P.).

M. LAZAR
CEZ. MIRYNI
P. O. KOTROZYM
ED. KROTAR
SZ. MORAKI
PAW. ZOKLER
K. DUNTAJ

Z liter zawartych w powyższych nazwiskach odgadnąć właściwy zawód danego człowieka.

### 5. Przestawianka.

(Ułożył R. Szostek z P.).

Czap, dzie, go, ju, ka, ka, la, łuj, na, nie, re, su, wy, wo, wil, z, zło.

Z powyższych wyrazów ułożyć dwa znane przysłowia.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 27 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 45 „Roli": 1. Logogryf: 1. Józef Kapuściński-Władysław Bienias. 2. Szarady: Padlina. Palenisko. Zapalenie. Pajęczyna. 3. Przestawianka: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. 4. Bilet wizytowy: Introligator. 5. Zagadka: Pop.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Władysław Marko z K., Henryk Biłka - Głębicki z S. (wierszem), Alfons Czader z S. W., Florjan Ciebiera z Rz., Józef Topolski z B, Wojciech Ciepiela z B., Jan Wawrzyk z P. i Piotr Wenc z S.

Nagrody wylosowali pp.: Henryk Biłka-Głębicki z S. i Jan Wawrzyk z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

# Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny



— Kumie, chodźcie pomóc nam wywłóczyć zdechłego konia, — jak wom kiedy zdechnie, to jo wom też pomogę.



**W sądzie.**

S ę d z i a: — Kto pierwszy dowiedział się o kradzieży?

— Ś w i a d e k: — Ja.

O s k a r ż o n y: — Najlepszy dowód, że świadek kłamie, bo przecież pierwszy o kradzieży wiedziałem ja.



**Na seansie spirytystycznym.**

— Teraz przywołamy ducha pani nieboszczyka męża, pani Eulaljo.

— To musielibyśmy długo wołać: przecież on był głuchy jak pień!

**Pieczeniarz.**

— Kiedy pan przyjedzie do nas na obiad?

— Zaraz. W poniedziałek jem u S. to będę chorował we wtorek. We środę jem u M., to będę chory przez czwartek. Chyba w piątek?



**Pojętny pacjent.**

— Powinien pan zachowywać spokój ducha. Jeśli spotka pana jakaś przykrość, niech pan na nią wcale nie zważa.

— Dobrze, zastosuję się, kiedy dostanę rachunek od pana doktora.



**Czułe serce.**

Dwaj panowie siedzą w przepełnionym tramwaju. Jeden z nich przymknął powieki:

— Czy ci słabo? — pyta go towarzysz.

— Nie, ale nie mogę patrzeć, jak kobiety stoją w tramwaju.

## Nowe wydawnictwa.

**„Kiedy Anhelli wstępował na Wawel“ napisał Robert Rydz. Przepiękny ten poemat powinien znaleźć się w każdej bibljotece. Do nabycia w Administracji „Roli“ lub u wydawcy. Cena 1 zł.**



**Giełda płodów rolniczych**
z dnia 15 listop. b. r.

| | | | |
|---|---|---|---|
| Pszenica . | 50·50—51·50 | Słoma długa | 7·00—8·00 |
| Żyto . . | 00·00—00 00 | Ziemniaki stoł. | 8·00—8·50 |
| Owies . . | 38·00—39·00 | Koniczyna nasienn. czer. | 00·00—00·00 |
| Jęczmień . | 40·00—41·00 | | |
| Łubin żółty | 00·00—00·00 | Otręby żytnie | 25·00—26·00 |
| Fasola biała | 00·00—00·00 | Mąka żytnia | 62·00—62·50 |
| Groch zwyk. | 00·00—00·00 | Mąka pszen. | 83·50—84·50 |

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.



**Wyszła z druku broszurka p. t.**

## Ze strun duszy, Z kwiatów polnych, Z przędzy dymu.

zawierająca utwory poetyckie naszych współpracowników i przyjaciół »Roli« **Ireny Trzaskowskiej** z Łucka **Kachny Łęczynianki i Donata Lesiowskiego**.
Cena egzemplarza 45 groszy wraz z przesyłką poczt.
Do nabycia w Administracji »Roli«.

*Gdy wyczytasz ogłoszenie*
*I uczynisz zamówienie.*
*Pisz wyraźnie i powoli,*
*Żeś to czytał w naszej Roli.*

**Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.**

## OKŁADKI NA „ROLĘ“

**twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli“. Wysyłka następuje zaraz.**

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.

**Życzenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku,** gdyż tę część otrzymujemy.